Karol
Wagner

PROSTOTA W ŻYCIU.

K. WAGNER.

Prostota w życiu

TŁÓMACZYŁA

Władysława Zarembina

WARSZAWA.
DRUK JÓZEFA SIKORSKIEGO, WARECKA 14.
1905.

Дозволено Цензурою
Варшава, 12 Іюля 1905 г.

Przedmowa do pierwszego wydania.

Chory, trawiony gorączką, pożerany pragnieniem marzy w śnie o strumieniu ożywczym, w którym się kąpie, o źródle przejrzystem, z którego pije i pije bez końca. Podobnie, w chaotycznem wzburzeniu nowoczesnego istnienia, wyczerpane nasze dusze marzą o prostocie.

Czyż to, co rozumiemy pod pięknem mianem prostoty, miałoby zniknąć na zawsze? Nie sądzę. Gdyby prostota była związana z wyjątkowemi jakiemiś okolicznościami, w rzadkich epokach jedynie znanemi, należałoby może wyrzec się jej osiągnięcia. Cywilizacyą niepodobna cofnąć do pierwocin, jak niepodobna sprowadzić wzburzonych fal rzeki do spokojnej doliny, w której olszowe gałęzie zacieniały jej źródło.

Lecz prostota nie zależy od takich lub innych szczególnych warunków ekonomicznych lub spo-

łecznych; jest to raczej duch zdolny do ożywienia i przemiany istnień gatunków bardzo odmiennych.

Zamiast rozwodzić nad nią daremne żale, możemy, śmiało twierdzę, uczynić z niej przedmiot naszych postanowień i cel naszej energii praktycznej.

Dążyć do życia prostego, to właściwie dążyć do spełnienia najpodnioślejszego przeznaczenia ludzkości. Wszelkie zwroty ludzkie, skierowane do sprawiedliwości i światła, były jednocześnie zwrotami do prostoty w życiu. Starożytna prostota w sztukach, w obyczajach, w pojęciach, posiada dla nas niezrównaną cenę tylko dlatego, że zdołała nadać potężny blask pewnym zasadniczym uczuciom, pewnym prawdom nieugiętym. Należy umiłować tę prostotę i usiłować zachować ją starannie. Kto jedynie na zewnętrzną powłokę zwraca uwagę, nie dążąc do urzeczywistnienia jej ducha, ten zaledwie setną część drogi przebył i dalekim jest jeszcze od celu. Zaiste, jeżeli nam trudno zachować w tych samych formach prostotę naszych ojców, możemy ustrzedz lub zdobyć jej ducha. Odmiennemi ścieżkami dążymy, lecz cel ludzkości pozostaje jednaki: jako ta gwiazda polarna, która wskazuje drogę zarówno parowcom, jak okrętom żaglowym.

Iść do tego celu przy pomocy środków, któremi rozporządzamy—oto rzecz najważniejsza, zarówno dzisiaj, jak niegdyś. Zbaczaliśmy z tej drogi i dlatego zamąciliśmy i utrudnili nasze życie.

Gdybym zdołał rozpowszechnić głębokie znaczenie prostoty, usiłowania moje byłyby wynagrodzone. Niektórzy czytelnicy pomyślą może, że takie pojęcie powinno przenikać obyczaje i wychowanie; zaczną rozwijać to pojęcie w sobie i poświęcą mu pewne przyzwyczajenia, które nie dozwalają nam stać się prawdziwymi ludźmi.

Zbyt wiele niepotrzebnych nabytków dzieli nas od ideału prawdy, sprawiedliwości i dobroci, jaki powinien rozgrzewać i ożywiać nasze serca i nietylko dzieli, lecz pod pozorem ochrony nas i naszego szczęścia, zasłania nam światło. Kiedyż zdobędziemy się na odwagę przeciwstawienia zwodniczym pokusom życia, równie skomplikowanego, jak niepłodnego, odpowiedzi mędrca: „Nie zasłaniaj mi słońca“.

Paryż, w Maju 1895 r.

Przedmowa do drugiego wydania.

Dzisiaj, kiedy „Prostota w życiu“ tylokrotnie była drukowaną, że stare klisze zniszczyły się i potrzeba było układać tekst powtórnie—zainteresują może niektóre fakta, dotyczące pochodzenia i przeznaczenia tej książki.

Nazajutrz po odezwie o małżeństwie p. Armando-Colin, dotyczącej życia prostego w zastosowaniu do domowego ogniska, wydawca mój paryzki napisał do mnie:

„Niech pan stworzy dzieło o „Prostocie w życiu“. „Będzie bardzo pożytecznem i bardzo aktualnem“.

W sześć miesięcy później książka wyszła. Zdobyła przyjaciół w prasie i w publiczności. Czytelnicy robili jej tę stałą i najpewniejszą reklamę, przez którą polecane są wzajemnie książki, tak jak zaznajamiani są wzajemnie przyjaciele. Szybko została poznaną i bez najmniejszej wrzawy rozszerzy-

ła się po całej Europie, w oryginale i w przekładzie.

W roku 1901 miss Marya Ludwika Wendee przetłómaczyła ją wytwornie na język angielski i wydała u wydawców Cluze w New-Yorku. Znana powieściopisarka amerykańska, miss Grace King, poprzedziła to wydanie bardzo staranną i ładną przedmową.

Książka zjednała już sobie rozgłos w Stanach Zjednoczonych, kiedy prezydent Roosewelt, przeczytawszy ją, zwrócił nań szczególniejszą uwagę. Napisał do autora: „Książki pana polecam swoim ziomkom“. Istotnie polecał Amerykanom czytanie „Prostoty w życiu“ w dwóch świetnych publicznych przemówieniach, w Bangor i w Filadelfii. Zaprosił autora do siebie, do Ameryki, i 22 listopada 1904 roku w wielkim teatrze Lafayette-Square w Waszyngtonie przedstawił go osobiście publiczności, zaczynając temi słowy: „Po raz pierwszy, odkąd jestem prezydentem, a zarazem po raz ostatni i jedyny, przedstawiam mówcę publiczności. Mogę się nazwać więcej niż szczęśliwym przy tej sposobności, bo jeżeli istnieje książka, którą pragnąłbym polecić memu narodowi, to jest nią przedewszystkiem „Prostota w życiu“ p. Wagnera. Z innych jego dzieł możemy także duży ciągnąć pożytek. Lecz podług mnie, w ostatnich latach nie ukazała się żadna praca, ani tutaj, ani zagranicą, którą my, dzieci Ameryki, powinniśmy tak bardzo wziąć do serca, jak „Prostotę w życiu“.

W świeżo odbytej, pięknej podróży do Stanów

Zjednoczonych przekonałem się, do jakiego stopnia Amerykanie usłuchali prezydenta.

Rodziny, uniwersytety, cała szeroka publiczność najróżnorodniejszych środowisk, wszyscy zabrali się do czytania książki. Dzienniki zamieszczały przedruki w felietonach, mówcy wygłaszali z niej szeregi odczytów. Popularne wydania roznosiciele gazet szerzyli po ulicach.

Wszystko to dowodzi, że książka wyszła na czasie i że odpowiada głębokiej potrzebie upraszczania życia w tej epoce wzburzonej i trudnej.

Naturalnym porządkiem rzeczy, nadzwyczajne powodzenie przekładów jej odbija się dzisiaj na wydaniu francuskiem i dodaje mu nowej energii.

Oby te ćwiartki, rozszerzając się, zdołały zwrócić uwagę wielu ludzi współczesnych na najważniejsze ze wszystkich zadań: użytku i organizacyi życia.

Obyśmy, zastanawiając się nad tem zagadnieniem zagadnień, doszli do zrozumienia, że szczęście, siła i piękno istnienia czerpią po większej części źródło w prostocie.

Karol Wagner.

Paryż, w lutym 1905 r.

I.

ŻYCIE UTRUDNIONE.

U Blanchard'ów wszystko przewrócone do góry nogami. Trudno się dziwić. Ślub panny Iwony we wtorek, dzisiaj mamy piątek!

Jest to nieskończony szereg gości obciążonych podarunkami, posłańców zgiętych pod ciężarem obstalunków. Służba upada ze zmęczenia. Młoda para i rodzice nie wiedzą gdzie mieszkają, ledwie żyją. Dnie spędzają u krawcowych, modystek, tapicerów, stolarzy, złotników, lub wreszcie w apartamencie oddanym w ręce malarzy i cieśli. Ztamtąd śpieszna wycieczka do kancelaryi notaryusza, gdzie czeka się kolei, patrząc na dependentów, przepisujących akta za stosami szpargałów. Zaledwie czasu zostaje na zmianę tualety i szereg uroczystości wieczornych: obiadów, rautów, wieczorów i balów. Około północy powrót do domu; tam korespondencya nagląca i ostatnie przesyłki. Życzenia, powinszowania, podziękowania i odmowy drużbów

i druchen, usprawiedliwienia niesłownych dostawców. Wreszcie przeszkody ostatniej chwili: niespodziewana żałoba rozbija orszak, brzydki katar nie pozwala znanej gwieździe sezonowej śpiewać w kościele i t. p. i t. p. Biedni Blanchard'owie! Nigdy nie będą gotowi, oni, którym się zdawało, że wszystko obmyślili, wszystko przewidzieli.

Oto ich życie przeszło od miesiąca. Nie mają czasu odetchnąć, odpocząć, godziny porozmawiać spokojnie. „Nie, to nie życie, to"...

Na szczęście, jest pokój babuni! Staruszka liczy blizko osiemdziesiąt lat. Dużo przeżyła, dużo przecierpiała i patrzy na rzeczy ze spokojem poważnym podniosłego umysłu i serca kochającego. Zagłębiona w fotelu, przekłada nad wszystko ciszę długich godzin skupienia. To też nawałnica, napełniająca dom cały, siłą poszanowania została powstrzymaną u jej progu. Dźwięki głosów i odgłosy kroków tam nie dochodzą. Kiedy narzeczeni pragną chwili spokoju, uciekają do babuni.

„Biedne dzieci!" — powtarza wtedy „jakże zdenerwowani jesteście! Odpocznijcie troszkę, zbliżcie się do siebie. To najważniejsza. O resztę mniejsza: wszystko inne nie zasługuje na uwagę".

I oni to czują. Ileż razy w ciągu ostatnich tygodni miłość ich musiała ustępować wszelkiego rodzaju względom, wymaganiom, konwenansom! Ulegają konieczności życiowej, która w tej najważniejszej dla nich chwili odrywa ich myśli i ducha od jedynej zasadniczej, podstawowej rzeczy, zwracając je do tysiącznych podrzędnych, błahych zatrudnień. Przyznają słuszność staruszce, kiedy z pieszczotą i uśmiechem mówi:

„Tak, moje dzieci, świat zanadto złożony... a to wszystko nie czyni ludzi szczęśliwszymi... Przeciwnie!..."

Jestem zdania babuni. Od kolebki do mogiły,

w potrzebach i w przyjemnościach, w pojęciu świata i samego siebie, człowiek nowoczesny szamocze się w chaosie niezliczonych zawikłań. W niczem niema prostoty: ani w myśleniu, ani w działaniu, ani w zabawie, ani nawet w śmierci. Własnemi rękami dodaliśmy naszemu istnieniu tysiące utrudnień, odejmując mu wiele stron dodatnich. Jestem przekonany, że w danej chwili tysiące mych bliźnich cierpi z winy życia zanadto sztucznego. Sądzę, że obowiązani będą, gdy damy wyraz ich niezadowoleniu i podtrzymamy ich w tej tęsknocie do prostoty, nurtującej w nich nieświadomie.

Przedewszystkiem przedstawmy szereg faktów, uplastyczniających prawdę, której apostołami być pragniemy.

Trudność życia przedstawia nam się w niesłychanej ilości naszych potrzeb materyalnych. Jednym z powszechnie stwierdzonych zjawisk epoki jest wzrost naszych potrzeb wraz ze wzrostem zasobów. Nie można tego nazwać złem zdecydowanem. Prostowanie niektórych potrzeb znamionuje postęp. Oznakę wyższości stanowi potrzeba mycia się, noszenia czystej bielizny, mieszkania w domu przyzwoitym, starannego pożywienia, kształcenia umysłu. Lecz jeżeli istnieją potrzeby pożądane i mające prawo życia, są również takie, które wywierają wpływ najzgubniejszy, pochłaniając nasze siły żywotne. Liczba i despotyczna cecha tych ostatnich zajmować nas będą przedewszystkiem.

Gdyby ktoś powiedział był naszym przodkom, że ludzkość dojdzie w przyszłości do rozporządzania wszystkiemi środkami, któremi rozporządza dzisiaj, wywnioskowaliby niezawodnie najpierw wzrost niepodległości, a tem samem szczęścia, powtóre wielkie złagodzenie współzawodnictwa w walce o dobra ziemskie; nabraliby przekonania, że uproszczenie istnienia—rezultat tych udoskonalonych sposobów po-

stępowania, pozwoliłoby na osiągnięcie wyższego stopnia moralności. Nie doczekaliśmy się niczego: ani większego szczęścia, ani spokoju społecznego, ani energii w dążeniu do dobra. Po pierwsze, czyż sądzicie, że wasi współobywatele, ogólnie biorąc, są więcej zadowoleni od waszych przodków, więcej spokojni o jutro? Nie pytam, czy mają dane, aby nimi być, lecz czy są istotnie. Patrząc na ich życie, wydają się po większej części niezadowoleni z losu, sk' otani potrzebami materyalnemi, zgnębieni troską o przyszłość. Nigdy kwestya życia i okrycia nie nie była bardziej zaostrzoną i bardziej żywotną, jak od czasu, kiedy się lepiej żywimy, lepiej ubieramy i lepiej mieszkamy. Myli się, kto sądzi, że pytanie: „co jeść będziemy, co pić i w co się ubierzemy" występuje jak zmora tylko przed biedakami, wystawionymi na grozę jutra bez dachu i chleba. U nich jest to naturalnem, a jednak u nich właśnie występuje najprościej. Zwróćcie uwagę na tych, którzy zaczynają cieszyć się pewnym dobrobytem; stwierdzicie, jak bardzo zadowolenie z tego, co mają, zmącone jest żalem, że im wiele brakuje. Jeżeli pragniecie zobaczyć troskę o przyszłość materyalną w całym jej rozwoju, patrzcie na ludzi zamożnych, a szczególniej na bogatych. Kobieta, mająca jednę suknię, nie kłopocze się o wybór ubrania, również człowiek mający zaledwie na zaspokojenie głodu, nie troszczy się bardzo co jutro do ust włoży. Nieuniknionem następstwem jest to, że potrzeby wzrastają w miarę ich zaspakajania: „im więcej człowiek posiada, tem więcej posiadać pragnie".

Im bardziej ma zaspokojone jutro, z punktu widzenia zdrowego rozsądku, tembardziej poddaje się troskom, z czego żyć będzie on i jego potomstwo, w jaki sposób zapewnić mu przyszłość. Trudno mieć wyobrażenie o niepokojach człowieka ze stanowiskiem zapewnionem, o ich liczbie, rozmiarach, wysubtelizowanych odcieniach.

Z tego wszystkiego we wszystkich warstwach społecznych, względnie do warunków z rozmaitą siłą natężenia, wynikło podniecenie ogólne, stan ducha niespokojny i niesłychanie złożony, dający się porównać do humoru dzieci popsutych, jednocześnie obdarzanych i niezadowolonych.

Nie zdobyliśmy ani większego szczęścia, ani większego spokoju, ani większej miłości bliźniego. Popsute, rozgrymaszone dzieci swarzą się często i zawzięcie. Im więcej człowiek ma pragnień i potrzeb, tem więcej znajduje sposobności do starć z bliźnimi; te starcia są tem więcej nienawistne i zajadłe, im mniej ich podstawy mają sprawiedliwości. Walka o chleb, o rzecz niezbędną, jest prawem przyrodzonem. Może się wydać brutalną, lecz istnieje uzasadnienie w jej srogości samej, i zazwyczaj ogranicza się na pierwiastkowych okrucieństwach. Inną jest walka o zbytek, o ambicyę, o przywileje, o kaprysy, o uciechy materyalne. Nigdy głód nie skłoni człowieka do takich podłości, jak ambicya, skąpstwo, żądza niezdrowych rozkoszy. W miarę rafinowania, egoizm staje się potworniejszym. Widzimy zatem wzmaganie się ducha nieprzyjaźni pomiędzy bliźnimi i coraz większy niepokój przejmuje nasze serca.

Czyż wobec tego należy pytać, o ile staliśmy się lepszymi? Czyż nerw dobra nie spoczywa w zdolności człowieka kochania czegokolwiek po za sobą samym? A jakież miejsce pozostaje dla bliźniego w życiu poświęconem wyłącznie zatrudnieniom materyalnym, potrzebom po większej części sztucznym, zadowoleniem ambicyi, zawziętości, fantazyi? Człowiek, rzucony na pastwę żądz swoich, powiększa je i wzmaga tak, że wkrótce biorą nad nim górę. Niewolnik tych żądz, zatraca poczucie moralne i ener-

gię, staje się niezdolnym do rozróżnienia i praktykowania dobra. Oddany jest wewnętrznej anarchii pragnień, z której, z biegiem czasu, wyradza się anarchia zewnętrzna. Życie moralne polega na panowaniu nad sobą, niemoralność na uleganiu naszym wymaganiom i naszym namiętnościom. Tym sposobem stopniowo podstawy życia moralnego się chwieją, zasady sądu krytycznego tracą właściwy kierunek.

Dla człowieka, niewolnika potrzeb licznych i niewyrozumiałych, posiadanie jest dobrem *par excellence*, źródłem wszelkiego innego dobra. Prawda, że w zajadłem współzawodnictwie o posiadanie dochodzi się do nienawidzenia tych, którzy posiadają, do zaprzeczania prawa własności wtedy, kiedy to prawo spoczywa w innych rękach, nie w naszych. Zajadłość w napadaniu na to, co posiada bliźni, jest nowym dowodem niesłychanego znaczenia, przywiązywanego przez nas do posiadania. Rzeczy i ludzie są szacowane przedajną swoją wartością, pożytkiem, jaki z nich osiągnąć można. Wszystko, co nic nie przynosi, jest niczem; wszyscy, co nic nie posiadają, nic nie są warci. Szlachetne ubóstwo, z łatwością napiętnowane, jest hańbą, pieniądz, nawet nieczysty, zdobyty bez trudu, może być uważany za zasługę...

A więc ktoś powie, potępiacie postęp nowoczesny ryczałtem i chcielibyście powrotu do dawnych czasów, do ascetyzmu może? Nigdy w życiu. Najniebezpieczniejszą i najniepłodniejszą utopią jest pragnienie wskrzeszenia przeszłości; sztuka dobrego życia nie polega na wycofaniu się z życia. Staramy się uwidocznić, w celu znalezienia środka zaradczego, jedno z błędnych pojęć, najbardziej ciążących na postępie społecznym, mianowicie, że człowiek staje się szczęśliwszym i lepszym w miarę powiększenia dobrobytu zewnętrznego. Nie może być nic myl-

...go nad ten mniemany aksyomat społeczny. ...wnie, zmniejszenie uzdolnienia do szczęścia ...dlenie charakterów przez niczem niezrównony dobrobyt materyalny, jest faktem, tysiącami ...kładów stwierdzonym. Cywilizacya tyle warta, ...wart człowiek, przebywający w jej ognisku. ...dy temu człowiekowi brakuje kierunku moralne... wszelki postęp prowadzi do wzmagania zła ...iększego gmatwania zagadnień społecznych.

Zasada ta może być stwierdzona w innych ...iedzinach, nietylko w dziedzinie dobrobytu. Wy...ienimy oświatę i wolność. Były czasy, w których ...pularni prorocy zwiastowali, że chcąc uczynić ... padołu ziemskiego siedzibę bogów, wystarcza ...walczyć trzy odwiecznie skojarzone potęgi: nędzę, ...emnotę i tyranię. Inni prorocy podnoszą dzisiaj ... same głosy. Widzieliśmy przed chwilą, że wi...oczne zmniejszenie nędzy nie uczyniło człowieka ...ni lepszym, ani szczęśliwszym. Czyż ten rezultat ...ostał osiągnięty chociaż w pewnej mierze chwa...lebnem staraniem o podnoszenie oświaty. Nie wy...aje się to w chwili obecnej, i to jest właśnie tro...ka i zgryzota ludzi pracujących nad oświatą naro...ową. A więc trzeba ogłupiać lud, znieść kształce...nie powszechne, zamknąć szkoły! Bynajmniej: lecz ...oświata, zarówno jak ogół cywilizacyjnych czynni...ków, jest w każdym razie tylko narzędziem. Wszystko zależy od robotnika, który się niem posługuje.

Tak samo wolność: może być zgubną, albo zbawienną, stosownie do sposobu, w jakim jest użytą. Czyż można zwać ją wolnością wówczas, kiedy spoczywa w rękach złoczyńców, warchołów, fantastyków, ludzi nie mających poszanowania dla niczego? Wolność jest atmosferą życia wyższego, w której

stajemy się zdolni do przebywania po długiej i cierpliwej pracy nad przeobrażeniem wewnętrznem.

Wszelkie życie potrzebuje praw, życie człowieka stokroć więcej, niż życie istot niższych, ponieważ życie człowieka i społeczeństw jest cenniejszem i delikatniejszem od życia roślin i zwierząt. Prawo dla człowieka jest najpierw zewnętrznem, lecz może się stać wewnętrznem. Gdy tylko człowiek uzna prawo wewnętrzne i skłonił się przed niem, dojrza dla wolności poszanowaniem i posłuszeństwem dobrowolnem. Dopóki niema prawa wewnętrzneg silnego i kierowniczego, nie jest zdolnym do oddychania tchnieniem wolności. To tchnienie go upaja, przyprawia o obłęd, zabija moralnie. Człowiek kierowany prawem wewnętrznem, nie może żyć pod władzą żadnej zewnętrznej siły, jak dojrzałe ptasze nie może żyć zamknięte w skorupie jajka lecz człowiek, który nie dosięgnął jeszcze moralnej wyżyny, z której kieruje sobą samym, tak samo nie może istnieć w państwie wolności, jak nie może istnieć zarodek ptaszyny, gdy pozbawiony zostanie opiekuńczej skorupki. Te rzeczy są strasznie proste; szeregi ich dowodów, dawnych i nowych, nie przestają wzrastać w naszych oczach, a jednak zapoznajemy zawsze pierwiastki prawa tak ważnego. W naszej demokracyi iluż jest ludzi, którzy zrozumieli—siłą sprawdzenia, przeżycia, a niekiedy podlegania jej — tę prawdę, bez której naród nie jest zdolnym do kierowania sobą samym. Wolność, to poszanowanie; wolność to posłuszeństwo wewnętrznemu prawu, a to prawo, to nie wola potężnych, ani fantazya tłumów, lecz nieosobista i wyższa zasada i reguła, przed którą władcy tej ziemi schylają pierwsi głowy. Czyż powiemy zatem, że należy znieść wolność? Nie, lecz powinniśmy stać się przysposobionymi do niej i godnymi, inaczej życie publiczne staje się niemożliwem, a naród zmierza, wśród rozwiązłości i braku dyscypliny, do nierozwiązalnych zawikłań demagogii.

Zastanawiając się nad szczegółowemi przyczynami, komplikującemi i utrudniającemi nasze życie społeczne—jakiebykolwiek miano można im nadać, a wyliczenie ich byłoby liczne—widzimy, że wszystkie odnoszą się do jednej przyczyny ogólnej: „łączenia dodatkowego z zasadniczem“. Dobrobyt, oświata, wolność, cała cywilizacya ogólnie wzięta, tworzą ramy obrazu, lecz ramy nie stanowią jeszcze obrazu, jak habit nie stanowi zakonnika, a mundur żołnierza. Obrazem tutaj jest człowiek, człowiek z najtajniejszą swoją głębią, sumieniem, charakterem, wolą. Podczas kiedy upiększano, pielęgnowano ramy, zaniedbano, uszkodzono obraz. To też jesteśmy bogaci w zewnętrzne dobra, a ubodzy, wynędzniali duchowo; to też mamy obfitość rzeczy, bez których możnaby się obejść, a jesteśmy nieskończenie biedni pod jednym, najważniejszym względem. I kiedy nasza głęboka istota się budzi z potrzebą miłości, nadziei, spełnienia swego przeznaczenia, doznaje lęku i trwogi, jak człowiek pogrzebany za życia; dusi się pod stosem rzeczy drugorzędnych ciążących na niej, pozbawiających ją powietrza i światła.

Należy wyzwolić i oswobodzić prawdziwe życie, podnieść wszystko do jego poziomu i pamiętać, że jądro, punkt środkowy postępu ludzkiego leży w kulturze moralnej. Jakąż lampę nazywamy dobrą? Nie lampę najozdobniejszą, najlepiej rzniętą, z najcenniejszego metalu zrobioną. Dobrą lampą jest lampa, która świeci jasno. Podobnie właściwego człowieka i obywatela stanowi nie liczba dóbr posiadanych i rozkoszy użytych, nie kultura

intelektualna i artystyczna, nie honory i zaszczyty, lecz siła i moc istoty moralnej. I nie jest to prawda dzisiejsza, lecz prawda wszechświatów.

W żadnej epoce warunki zewnętrzne, osiągnięte wiedzą i przemysłem, nie zwolniły człowieka od troski o stan życia wewnętrznego. Powłoka świata przeobraża się, materyalne i intelektualne czynniki istnienia podlegają zmianom. Nikt nie jest w stanie sprzeciwić się tym przeobrażeniom, których charakter gwałtowny nie ochrania czasem od niebezpieczeństwa. Lecz wśród wszelkich różnorodnych okoliczności człowiek powinien pozostać człowiekiem, żyć swojem życiem, dążyć do swego celu. Otóż jakąkolwiek byłaby ta droga, aby dojść do celu, podróżny nie powinien szukać krętych ścieżek, nie obarczać ramion niepotrzebnym ciężarem. Niechaj czuwa nad kierunkiem, nad siłami, nad godnością swoją, aby lepiej służyć najważniejszej, zasadniczej sprawie, to jest posuwaniu się naprzód, niechaj uprości, zmniejszy swój bagaż, choćby kosztem jakichkolwiek ofiar.

II.

DUCH PROSTOTY.

Zanim będziemy w możności przedstawić, na czem polega w praktyce powrót do prostoty, do której wzdychamy, należy przedewszystkiem określić prostotę w jej podstawowem znaczeniu. Pod tym względem popełniana bywa ta sama pomyłka, którą przed chwilą zaznaczaliśmy, a która polega na mieszaniu dodatkowego z zasadniczem, treści z formą. Zdaje się czasem, że prostota przedstawia pewne cechy zewnętrzne, po których daje się poznać i na których polega. Prostota i stanowisko skromne, ubranie proste, mieszkanie bez zbytku, mierność, ubóstwo, wszystkie te rzeczy zdają się iść w parze. Tak jednak nie jest. Z trzech ludzi, których spotkałem na drodze, jeden jechał powozem, drugi szedł piechotą, trzeci wędrował boso. Nie koniecznie ten ostatni ma wśród nich celować prostotą. Może się zdarzyć, że jadący powozem jest skromnym, pomimo swego stanowiska i bogactwa

że idący w trzewikach nie zazdrości jadącemu powozem i nie pogardza bosym nędzarzem, lecz przeciwnie trzeci pod łachmanami i strzępami swemi żywi nienawiść do prostoty, pracy, wstrzemięźliwości, i marzy tylko o życiu łatwem, o uciechach i bezczynności. Do najmniej skromnych należy zaliczyć zawodowych żebraków, oszustów, szalbierzy, darmozjadów, których wszelkie aspiracye streszczają się: w pochwyceniu choćby kawałka, możliwie największego, tego żeru, będącego udziałem wybrańców ziemi. Do tej samej kategoryi należą wszyscy wygórowanie ambitni, zniewieściali, pyszni, przerafinowani, skąpcy, karyerowicze i t. d. Pozory nic nie znaczą, trzeba widzieć serce. Żadna klasa nie ma przywileju prostoty, żaden zwyczaj, choćby się najskromniejszym wydawał, nie może być jej dowodem niezbitym. Siedzibą jej nie jest koniecznie poddasze, ani lepianka nędzarza, ani cela ascety, ani łódź najbiedniejszego rybaka. We wszelkich przejawach życia, na wszystkich szczeblach społecznych, u dołu i na wyżynach, widzimy prostotę obok zupełnego jej braku. Nie chcemy przez to powiedzieć, że prostota nie wyraża się żadną zewnętrzną oznaką, że nie ma swych cech szczególnych, swych upodobań własnych, swych obyczajów; nie należy jednak identyfikować form z istotą samą, z jej źródłem głębokiem. To źródło jest całkiem wewnętrzne. „Prostota jest stanem ducha“. Spoczywa w ożywiającym nas motorze moralnym. „Człowiek jest prosty wówczas, kiedy główne jego usiłowanie polega na pragnieniu zostania takim, jakim być powinien, to jest poprostu człowiekiem“. Nie jest to ani zbyt łatwem, ani niedoścignionem, jak się niektórym wydaje. W głębi rzeczy polega to na ustanowieniu harmonii między uczynkami i dążeniami naszemi a przyrodzonem prawem naszej istoty, i ewentualnie przedwieczną Wolą, która nas

stworzyła. Niechaj kwiat będzie kwiatem, jaskółka jaskółką, skała skałą, a człowiek człowiekiem, nie zaś lisem, zającem, drapieżnym ptakiem lub prosięciem—oto wszystko.

Doszliśmy do sformułowania praktycznego ideału człowieka. We wszelakiem życiu widzimy pewną ilość sił i substancyi, skojarzonych w jednym celu. Materye, w mniej lub więcej pierwiastkowym stanie, są tam przeobrażone i podniesione do wyższego stopnia organizacyi. Nie inaczej się dzieje z życiem ludzi. „Ideał ludzki polegałby zatem na zamianie życia na dobra większe od niego samego“. Można porównać istnienie do materyi pierwotnej. Mniej znaczy, czem ona jest, aniżeli, co z niej można osiągnąć. Podobnie jak w dziele sztuki, należy oceniać to, co artysta umiał w niem zamieścić. Rodząc się przynosimy z sobą różnorodne dary: jeden otrzymał złoto, drugi granit, trzeci marmur, większa część zaś drzewo lub glinę. Do nas należy urabianie tych darów. Wszyscy wiemy, że można popsuć substancyę najcenniejszą, lecz że można również osiągnąć nieśmiertelne dzieło z materyi bez wartości. Sztuka polega na uplastycznieniu idei wieczystej w formie znikomej. „Prawdziwe“ życie polega na zużytkowaniu darów wyższych, to jest miłości, prawdy, wolności, energii moralnej, w naszej codziennej działalności, gdziekolwiek i w jakiejkolwiek formie zewnętrznej miałaby ona miejsce. Takie życie jest możliwe w najróżnorodniejszych warunkach społecznych, z najbardziej nierównemi darami przyrodzonemi. Wartość życia stanowi nie los i korzyści osobiste, lecz sposób, w jaki zużywać go umiemy. Blask, świetność niewiele znaczą—wartość, oto podstawa.

Czyż potrzebujemy mówić, że do tego poziomu niepodobna się wznieść bez wysiłku i bez walki? Duch prostoty nie jest odziedziczonem dobrem, lecz

wynikiem znojnej zdobyczy. Wszyscy wiemy, że wiedza polega na wyprowadzeniu z nabitej gromady wypadków różnorodnych kilku reguł ogólnych. Jakież ciemne i długie szukanie na oślep przed dojściem do odkrycia tych reguł! Wiekowe poszukiwania kończą się niekiedy zasadą na jednej linii zamieszczoną. Pod tym względem życie moralne ma dużo analogii z życiem naukowem. Rozwija się z niepewnością, próbuje sił swoich, szuka—i często się myli. W miarę działania i szczerego zdawania sobie sprawy ze swych czynów, człowiek dochodzi do lepszego poznawania życia. Objawia mu się życiowe prawo, a tem prawem jest: „spełnienie swojego zadania". Ktokolwiek do czego innego dąży, niż do osiągnięcia tego celu, zatraca, żyjąc, jedyną racyę bytu. Tak czynią egoiści, światowcy, ludzie pyszni. Marnują życie tak, jak się marnuje zboże zebrane przedwcześnie, przed dojrzeniem ziarna. Takie życie jest życiem straconem. Przeciwnie, kto poświęca życie celom wyższym, ocala je, poświęcając. Zasady moralności wydające się pozornie arbitralnemi, jakby hamującemi nasz zapał życiowy, w gruncie rzeczy mają ten jeden wzgląd na widoku: ustrzeżenie nas od nieszczęścia bezcelowego istnienia. Dlatego wszystkie zwracają nas w jedną stronę, wszystkie brzmią jednakowo: nie marnuj życia, uczyń je płodnem, umiej je poświęcić, aby nie przepadło! Oto streszczenie doświadczenia ludzkości. To doświadczenie, które każdy człowiek przechodzić musi, staje mu się tem cenniejszem, im go więcej kosztowało. W oświetleniu doświadczenia pochód jego moralny nabiera pewności, zdobywa środki oryentacyjne, normę wewnętrzną, do której wszystko sprowadza i z niepewnego, błądzącego, złożonego, skomplikowanego, staje się prostym. Pod nieustannym wpływem tego prawa, które w nim nabiera mocy i przejawia się w faktach, następuje przeobrażenie jego zwyczajów i poglądów.

Raz porwany wielkością i pięknem prawdziwego życia, wzruszającą świętością walki ludzkości o prawdę, sprawiedliwość i dobro, wznosi im wieczyste w sercu ołtarze, stale podlega ich urokowi. Ten potężny i nieustający urok, naturalną siłą rzeczy, oddziaływa na wszystko. Powstaje w nim konieczna hierarchia władz i sił. „Zasadnicze" rozkazuje, „dodatkowa" słucha, a porządek wypływa z prostoty. Można przyrównać mechanizm życia wewnętrznego do mechanizmu armii. Armia jest silna dyscypliną, a dyscyplina polega na poszanowaniu starszych, na skoncentrowaniu wszelkich energii w dążeniu do jednego celu. Armia cierpi na rozluźnieniu dyscypliny. Kapral nie może rozkazywać generałowi. Zbadajcie starannie życie wasze i życie innych, życie społeczeństwa. Gdy tylko cośkolwiek kuleje lub zgrzyta, gdy powstaje nieład i zawikłania, to dlatego, że kapral chciał rządzić generałem. Tam, gdzie prawo prostoty przenika serca, znika nieład.

Z rozpaczą myślę, że nie zdołam przedstawić prostoty w sposób jej godny. Cała siła świata i całe jego piękno, cała rozkosz prawdziwa, wszystko, co pociesza i wszystko, co nadzieję budzi, wszystko, co rzuca nieco światła na ścieżki życia ponure i na końcu naszej smutnej ziemskiej wędrówki wskazuje cel podniosły i przyszłość wielką — to wszystko pochodzi od istot prostych, które umiały nie znikome zadowolenia egoizmu i pychy uczynić przedmiotem swych pożądań, lecz które zrozumiały, że wiedza „życia" spoczywa w umiejętności oddania życia.

III.

MYŚL PROSTA.

Nietylko życie nasze w przejawach praktycznych, lecz również dziedzina myśli potrzebuje uporządkowania. Anarchia tam panuje; idziemy mgłą spowici, zatraceni w nieskończonych szczegółach, bez gwiazdy przewodniej i bez kierunku.

Zaledwie człowiek poznał, że cel posiada, że tym celem jest, aby został „człowiekiem“, organizuje myśl swoją, odrzuca jako niezdrowy, wszelki sposób myślenia, pojmowania i sądzenia, który go nie czyni lepszym i silniejszym.

Przedewszystkiem porzuca zbyt rozpowszechniony spaczony kierunek, polegający na zabawie myślą. Myśl jest poważnem narzędziem, mającem zadanie do spełnienia: to nie zabawka. Weźmy przykład: oto pracownia malarza. Przybory leżą na właściwem miejscu. Wszystko wskazuje, że ten zbiór przedmiotów rozłożony jest dla osiągnięcia z góry zamierzonego celu. Otwórzcie drzwi małpom. Wdrapią się na sztalugi, zawieszą się na sznurach, spowiją w draperye, pantofle włożą na głowę, zaczną się bić pędzlami, kosztować farb, dziurawić płótna, aby zobaczyć wnętrza portretów i t. p. Nie wątpię o ich przyjemności; prawdopodobnie uważają ten rodzaj zajęcia za bardzo zajmujący. Lecz pracownia malarza nie jest miejscem odpowiedniem dla zabawy małp. Podobnie myśl nie może być polem dla ewolucyi akrobatycznych. Człowiek, godny tego imienia, myśli, jakim jest i w jaki sposób kocha; nie działa z ciekawości oderwanej i jałowej, która pod pozorem widzenia i znania wszystkiego, naraża się na niedoznawanie nigdy zdrowych i głębokich wzruszeń, na niedopełnienie nigdy czynu prawdziwego—całe serce w to wkłada.

Drugim zwyczajem, z którego należy się poprawić, zwyczajem nieodłącznym od życia sztucznego, jest mania badania się i analizowania co chwila. Nie radzę człowiekowi, aby zaniechał obserwacyi wewnętrznej i rachunku sumienia. Usiłowanie dokładnego poznania stanu umysłu i zasad postępowania jest zasadniczym pierwiastkiem dobrego życia. Lecz co innego znaczy czujność, co innego nieustanne zwracanie uwagi na czyny i myśli, rozbieranie jak machinę siebie samego. To rozprzężenie i strata czasu. Człowiek, któryby dla lepszego przygotowania się do podróży, chciał zacząć od drobiazgowego, anatomicznego badania środków lokomocyi, narażałby się na wykolejenie przed zrobieniem kroku. „Masz, co ci potrzeba do drogi, ruszaj! Strzeż się upadku, oszczędzaj siły“. Ludzie zbyt drobiazgowi i zbyt skrupulatni często dochodzą do gnuśności. Wystarcza źdźbło zdrowego rozumu dla zdania sobie sprawy, że człowiek nie jest stworzonym dlatego, aby tylko wyłącznie patrzeć na siebie.

Zdrowy rozum—czy nie znajdujecie, że to, co

oznaczamy tem mianem, spotyka się równie rzadko jak dobre zwyczaje dawniejsze? Zdrowy rozum to rzecz stara. Czego innego potrzeba; i szukamy daleko tego, co mamy blizko. Przerafinowanie niedostępne dla gminu, a to tak przyjemnie wyróżniać się od innych! Zamiast postępować jak osoba naturalna, posługująca się z góry oznaczonemi środkami, któremi rozporządza, dochodzimy siłą geniusza do najbardziej zadziwiających odrębności. Lepsze wykolejenie od prostej, utartej drogi! Wszystkie zboczenia i ułomności cielesne, pielęgnowane przez ortopedyę, dają słabe pojęcie o garbach, krzywiznach i guzach, jakich się nabawiamy, zbaczając z drogi zdrowego rozumu. Dowiadujemy się własnym kosztem, że bezkarnie tego się nie doświadcza. Wszelkie nowości są znikome. Tylko odwieczne i banalne jest trwałem, i jeżeli chcemy to lekceważyć—narażamy się na prawdziwe niebezpieczeństwo. Szczęśliwy, kto wyjdzie z nich zwycięzko, kto umie powrócić do prostoty. Prosty, zdrowy rozum nie jest, jak sobie może ktoś wyobrażać, wrodzoną własnością pierwszego lepszego, trywialnym i ordynarnym bagażem, który nie kosztował trudu nikogo. Porównywam go do tych odwiecznych pieśni ludowych, bezimiennych i niewygasłych, które zdają się płynąć z samego serca tłumów. Zdrowy rozum jest kapitałem powolnie i uciążliwie zbieranym wiekową pracą. To skarb czysty, oceniany jedynie przez tych, którzy go utracili, lub którzy patrzą na ludzi, pozbawionych tego skarbu. Co do mnie, sądzę, że wszelki trud warto podjąć dla zdobycia i zachowania zdrowego rozumu, oczów trzeźwo patrzących, krytycznego sądu. Jeżeli ochraniamy pałasz z obawy, aby się nie skrzywił, albo nie zardzewiał, z jakąż pieczołowitością zwracać się powinniśmy do myśli?

Należy dobrze zrozumieć. Odwoływanie się

do zdrowego rozumu nie jest odezwą do myśli poziomej, do pozytywizmu ciasnego, przeczącego wszystkiemu, czego widzieć i dotknąć nie może. Byłoby brakiem zdrowego rozumu pragnienie zaabsorbowania człowieka w materyalizmie, z zapomnieniem o podniosłej rzeczywistości wewnętrznego świata. Dotykamy tutaj bolesnego punktu, około którego szamocą się największe zagadnienia ludzkości. Z walką i trudem dążymy do wyrobienia w sobie pojęcia o życiu; przebywamy tysiączne mroki i tysiączne bóle, a wszystko, co zbliżone do rzeczywistości duchowej, z dniem każdym większą trwogą przejmuje. Wśród poważnych zawikłań i chwilowego nieładu, towarzyszącego wielkim kryzysom myśli, wybrnięcie z kłopotu przy pomocy kilku prostych zasad wydaje się trudniejszem, niż kiedykolwiek. Konieczność jednak przychodzi nam z pomocą, jak to niejednokrotnie czyniła w różnych epokach. Program życia jest strasznie prosty; dlatego właśnie, że istnienie w tak naglący sposób się narzuca, ostrzega nas, że poprzedza pojęcie, jakie sobie o niem wyrobić możemy, i że nie wolno nam oczekiwać z życiem na zrozumienie życia. Z całą filozofią, ze wszystkiemi naszemi wierzeniami, twierdzeniami, stajemy wszędzie wobec faktu dokonanego, i ten właśnie fakt dokonany, nieodwołalny, potężny, doprowadza nas do porządku, kiedy chcemy wyprowadzać wnioski z naszych rozumowań i przed rozpoczęciem działania skończyć filozofowanie. Oto szczęśliwa konieczność niedopuszczająca, aby świat stanął, kiedy człowiek wątpi o kierunku drogi. Jednodniowi podróżni, wciągnięci jesteśmy do ruchu szerokiego, w którym uczestniczyć musimy, lecz którego nie przeczuwaliśmy, nie objęli całości, nie zgłębili ostatecznych celów. Nasze zadanie polega na wiernem spełnieniu przeznaczonej nam roli prostego żołnierza—myśl nasza z tem położeniem oswoić

się powinna. Nie mówmy, że czasy są trudniejsze dla nas niż były dla dziadów; z oddali trudno jest widzieć dokładnie i nie przystoi zresztą narzekać, że nie urodziliśmy się w epoce naszych przodków. Pod tym względem słuszniej można twierdzić, że odkąd świat istnieje, trudno w nim widzieć dokładnie. Jasny pogląd był niełatwym zawsze i wszędzie, przodkowie nasi nie mieli najmniejszego tutaj przywileju. Czy człowiek rozkazuje lub słucha, uczy się lub naucza, czy pracuje młotem albo piórem, jednakowo mu przychodzi rozróżniać dobrze prawdę. Światła, które ludzkość zdobywa w miarę postępu, są jej niezaprzeczenie bardzo użyteczne, lecz z drugiej strony zwiększają ilość i doniosłość zagadnień. Trudność nigdy nie jest usuniętą, rozum zawsze spotyka przeszkody. Nieświadome ujarzmia, obejmuje nas ze wszechstron. Lecz tak, jak nie potrzeba pić wody ze wszystkich źródeł dla zaspokojenia pragnienia, tak również nie potrzeba wszystkiego wiedzieć, aby żyć. Ludzkość żyje i zawsze żyła, czerpiąc z niewielkiej ilości pierwiastkowych zasobów.

Spróbujmy je wskazać: przedewszystkiem ludzkość żyje „ufnością"; w tej ufności odbija w mierze uświadomionej swej myśli to, co jest najciemniejszą głębią wszystkich istot. Niewzruszona wiara w trwałość wszechświata, w jego rozumny ustrój, drzemie we wszystkiem, co tylko istnieje. Kwiaty, drzewa, zwierzęta żyją z potężnym spokojem, z bezpieczeństwem zupełnem. Widzimy ufność w deszczu, który pada, w świtającej jutrzence, w strumieniu mającym ujście w morzu. Wszystko, co istnieje, zdaje się mówić: „Jestem, więc powinnem być; jest przyczyna ku temu, nie kłopoczmy się".

Ta ufność, to dźwignia ludzkości. Istnienie samo przez się jest dla ludzkości wystarczającą przyczyną bytu, zadatkiem pewności — znajduje ona oparcie w woli, która pragnęła jej egzystencyi. Pierwszem usiłowaniem naszej myśli powinno być zachowanie tej ufności, nie zrażanie jej niczem, podtrzymywanie jej i uczynienie bardziej osobistą i bardziej widoczną. Wszystko, co wzmaga w nas ufność, jest dobrem, bo z tego wyłania się energia spokojna, działalność rozważna, miłość życia i pracy płodnej. Podstawowa ufność jest tajemniczą sprężyną, poruszającą w nas wszystkie siły nasze. Ona nas żywi. Ona większe ma dla nas znaczenie, niż chleb powszedni. Wszystko, co podkopuje tę ufność, jest „złem", jest trucizną, nie zaś pożywieniem.

Szkodliwym być musi wszelki system myśli — napadający na sam fakt życia dla przedstawienia go złym. W tym wieku zbyt często źle sądzono życie. Cóż dziwnego, że usycha drzewo, którego korzenie podlewamy substancyami niszczącemi, wyżerającemi? Możnaby bardzo prostą refleksyę przeciwstawić całej filozofii nicości: Nazywacie życie złem? Dobrze. Jaki środek zaradczy macie przeciwko niemu? Czy możecie je zwalczyć, zniweczyć, usunąć? Nie żądam od was zgładzenia waszego życia, samobójstwa, bo do czegożby to doprowadziło? Lecz zniweczenie życia, nietylko życia ludzkiego, lecz jego podstawy ciemnej i niższej, tego życiowego tchnienia, które wzbija się do światła, a podług was prowadzi do nieszczęścia; żądam od was zniweczenia woli istnienia, przenikającej wszystko we wszechświecie, zniweczenia wreszcie źródła życia. Czy możecie? Nie. A więc dajcie spokój. Ponieważ nikt nie jest w stanie ujarzmić i okiełznać żądzy życia, czyż nie lepiej uczyć się szanować je i używać pożytecznie, niż zniechęcać do niego ludzi? Nie jemy potrawy, o której wiemy, że szkodliwa dla zdrowia. Jeżeli jaki sposób myślenia odejmuje nam ufność, radość i siłę, należy go odrzucić w przekonaniu, że stanowi nietylko niesmaczne, lecz szkodliwe pożywienie dla ducha. Prawdą dla ludzi są

tylko myśli ludzkie; pesymizm jest nieludzki grzeszy nietylko brakiem skromności, lecz nawet ı giki. Aby pozwolić sobie nazywać złą rzecz ta zdumiewającą i cudowną jak życie, należałoby v dzieć jego głąb, prawie, że sam akt stworzenia. Ja każ szczególna postawa niektórych wielkich myślicieli współczesnych! Zachowują się jak gdyby on świat stworzyli, w pierwszych dniach swej młodości, bardzo dawno już temu; później uczuli, że popełnili winę — i... niezawodnie zawinili bardzo. Używajmy innej strawy, wzmacniajmy nasze dusze odżywczemi myślami; dla człowieka najprawdziwszem jest to, co go wzmacnia najlepiej.

Jeżeli człowiek żyje ufnością, żyje również nadzieją. Nadzieja — jest ufnością, zwróconą ku przyszłości. Wszelkie życie jest rezultatem i dążeniem. Wszystko, co istnieje, musi mieć punkt wyjścia i dąży do jakiegoś celu. Żyć, to stać się czemś, stać się, to dążyć. Nieskończenie wielkie istnienie, to nieskończenie wielka nadzieja. W głębi wszechrzeczy tkwi nadzieja i trzeba, aby ta nadzieja odbijała się w sercu ludzkiem. Bez nadziej niema życia. Potęga, która nas stwarza, dodaje nam bodźca do wznoszenia się wyżej. Jakie jest znaczenie tego zawziętego instynktu, który nas pobudza do postępu? Prawdziwem jego znaczeniem jest, że musi coś wynikać z życia, że musi z niego wynikać dobro, większe od życia samego, dobro, do którego to życie dąży i że człowiek, który pcha życie, musi mieć nadzieję jutra. Dzieje ludzkości, to dzieje niezwalczonej nadziei. Inaczej wszystko oddawna byłoby skończone. Aby iść pod brzemieniem swych ciężarów, aby nie błądzić w mrokach i ciemnościach, aby się podnosić ze swych upadków i win, aby się nie

rzucić w objęcia śmierci, ludzkość potrzebowała zawsze mieć nadzieję, niekiedy wbrew wszelkiej nadziei. Oto wielka jej dźwignia. Gdybyśmy tylko mieli logikę, bylibyśmy oddawna doszli do następującego wniosku: Ostatnim wyrazem wszędzie jest śmierć; i ta myśl byłaby nas zabiła. Lecz nas ożywia nadzieja, dlatego żyjemy i wierzymy w życie.

Suso, wielki mistyk, zakonnik, jeden z najszlachetniejszych i najprostszych ludzi, jacy kiedykolwiek żyli, miał wzruszający zwyczaj: ilekroć spotykał kobietę najbiedniejszą nawet i najstarszą, schodził z uszanowaniem z jej drogi, choćby mu nawet przyszło poranić nogi cierniami, lub wejść w kałużę błota. „Czynię tę, mówił, dla oddania hołdu naszej Najświętszej Panience, Dziewicy Maryi“. Składajmy nadziei podobny hołd: kiedy ją spotykamy, czy to pod postacią ziarnka zboża, wschodzącego w bruździe, czy ptaszyny, okrywającej skrzydełkami jaja w gniazdeczku, biednego zwierzęcia, które zranione podnosi się, dźwiga i idzie dalej, wieśniaka, uprawiającego pole spustoszone gradem lub wylewem, narodu, który powoli odzyskuje swoje straty i leczy rany—czy też pod jakąkolwiek inną powłoką nędzną i marną, schylajmy przed nią czoło! Oddajmy jej cześć i schylajmy czoło, kiedy ją spotykamy w legendach, w naiwnych pieśniach, w wierzeniach prostych, bo jest zawsze tą samą, wiecznie istniejącą, nieśmiertelną córą Boga.

Zbyt nieśmiałą jest nasza nadzieja; człowiek współczesny tę nieśmiałość do dziwactwa posuwa. Obawa, aby się niebo nie zapadło — ten szczyt niedorzeczności w strachu, podług naszych przodków galijskich—opanowała nasze serca. Czy kropla wody wątpi o oceanie, a promień świetlany o słońcu? Nasz rozum przestarzały doszedł do tego. Przypomina on starych pedagogów gderliwych, których główne zajęcie polega na karceniu wesołych wybry-

ków i porywów młodzieńczych uczniów-dzieciaków. Czas wielki, abyśmy stali się znowu dziećmi, abyśmy znowu uczyli się składać ręce i otwierać oczy wobec tajemnicy, która nas otacza, abyśmy pamiętali, że pomimo całej wiedzy, my nic nie umiemy, że świat jest większy od naszego mózgu i że szczęśliwie, że tak jest, ponieważ, jeżeli ten świat taki jest cudowny, musi przechowywać zasoby nieznane i możemy mu otwierać pewien kredyt, bez narażenia się na zarzut nieprzezorności. Nie postępujmy jak wierzyciele z niewypłacalnymi dłużnikami. Należy wzbudzać odwagę i rozpalać święty płomień nadziei. Ponieważ słońce wschodzi zawsze, a ziemia rozkwita, ponieważ ptaszę buduje swe gniazdo, a matka uśmiecha się do dziecięcia, miejmy odwagę być ludźmi, powierzając resztę Temu, który zasiał firmament gwiazdami. Co do mnie, chciałbym znaleźć ogniste słowa i umieć powiedzieć do każdego upadłego na duchu w tych czasach odartych ze złudzeń: Nie trać odwagi, miej jeszcze nadzieję; ten tylko jest pewien, że się myli najmniej, kto ma śmiałość spodziewania się najwięcej. „Najnaiwniejsza nadzieja bliższą jest prawdy od najbardziej wyrozumowanej rozpaczy“.

Innem źródłem światła na drodze ludzkości jest dobroć. Nie należę do ludzi, którzy wierzą w przyrodzoną doskonałość człowieka i twierdzą, że społeczeństwo go psuje. Ze wszelkich postaci zła najbardziej zastraszającą dla mnie jest przeciwnie dziedziczność. Niejednokrotnie zadawałem sobie pytanie: dlaczego ten stary jad, przesycony najniższemi instynktami, występkami wsiąkniętemi w krew, przekazanemi przez przeszłość narowami, nie zjadł nas jeszcze całkowicie? Zapewne dlatego, że jest rzecz inna. Tą inną rzeczą jest dobroć.

Biorąc pod uwagę „nieznane“ otaczające nas zewsząd, nasz rozum ograniczony, przerażającą a sprzeczną zagadkę przeznaczeń, kłamstwo, nienawiść, zepsucie, ból, cierpienie, śmierć—co myśleć? Co robić? Na wszystkie te pytania, razem zebrane, głos wielki i tajemniczy odpowiada: „Bądź dobrym“. Widocznie dobroć jest równie boską, jak ufność i nadzieja, kiedy wbrew wszelkim przeciwnym jej potęgom, zginąć nie może. Ma przeciwko sobie dzikość wrodzoną, którąby można nazwać zwierzęciem w człowieku; ma przeciwko sobie podstęp, siłę, interes, nadewszystko niewdzięczność, dlaczegoż wychodzi białą i niepokalaną zpośród tych wszystkich wrogów ponurych, jak powrót legendy świętej z pomiędzy dzikich zwierząt rozjuszonych?

Dlatego, że ci wrogowie pełzają nizko, a dobroć wznosi się wyżej. Pazury, zęby, rogi, śmiertelnym ogniem ziejące oczy, nie mogą dosięgnąć szybkolotnego skrzydła, wzbijającego się w sfery wysokie. Podobnie dobroć wychodzi zwycięzko ze szponów nieprzyjacielskich. Czyni lepiej jeszcze, zna niekiedy piękny tryumf zjednywania prześladowców: widzi ułagodzone dzikie bestye, konie u jej stóp schylone, słuchające jej prawa.

Najwznioślejszą, a dla umiejącego przeniknąć jej znaczenie głębokie, najbardziej ludzką doktryną wiary chrześciańskiej jest następująca: Dla wybawienia zagubionej ludzkości, niewidzialny Bóg zamieszkał między nami, pod postacią człowieka i dał się poznać tylko pod jedynem godłem: „Dobroci“.

Pocieszycielka, odkupicielka, słodka dla nieszczęśliwych i dla złych nawet, dobroć promienieje światłem i jasnością. Oczyszcza i upraszcza. Cząstka, którą obrała, jest bardzo skromną: leczy rany, osusza łzy, uśmierza ból, ratuje nędzę, pociesza zbolałe serca, przebacza, łagodzi. Dobroci potrzebujemy najwięcej. Ponieważ więc dążymy do naj-

lepszego sposobu uczynienia myśli płodną, prostą, prawdziwie zgodną z naszem przeznaczeniem ludzkiem, przeto streścimy metodę w tych kilku słowach: „Miej ufność, nadzieję, i bądź dobrym".

Nie mam zamiaru zniechęcać nikogo do wysokich spekulacyi, ani odradzać nikomu zgłębiania zagadnień „nieświadomego" i szerokich przestworzy filozofii i wiedzy. Lecz trzeba będzie zawsze powrócić z tych dalekich podróży do tego samego punktu, na którym stoimy, często do tegoż miejsca, gdzie drepczemy bez rezultatów widocznych. Są warunki życia i komplikacye społeczne, w których uczony, myśliciel i głupiec, nie widzą jaśniej jeden od drugiego. Współczesna epoka stawiała nas niejednokrotnie w tego rodzaju położeniu i zaręczam, że każdy, kto zechce posłużyć się naszą metodą, przyzna wkrótce, że jest bardzo dobrą.

Ponieważ kilkakrotnie dotąd poruszałem kwestyę religijną, przynajmniej w ogólnym jej zarysie, i przewiduję zapytanie: którą religię uważam za najlepszą? przeto śpieszę dać wyjaśnienie pod tym względem. Lecz może nie należałoby stawiać kwestyi, jak to czynią zazwyczaj, pytając, jaka religia jest najlepszą. Religie mają niezawodnie pewne cechy, ściśle określone, zalety i wady nieodłączne od każdej. Można w ostateczności porównać je z sobą, lecz przy takiem porównaniu wchodzą w grę zawsze subiektywne zapatrywania i bezwiedna stronność. Postawmy więc kwestyę inaczej i zapytajmy: Czy moja religia jest dobrą i w jaki sposób mogę rozpoznać, że jest dobrą? Oto odpowiedź na to pytanie: Twoja religia jest dobrą, jeżeli jest żywotną i czynną; jeżeli podtrzymuje w tobie poczucie nieskończonej wartości istnienia, ufność, nadzieję i dobroć, jeżeli jest sojuszniczką lepszej cząstki

twojej natury przeciwko gorszej i wskazuje ci ciągle potrzebę zostania nowym człowiekiem; jeżeli cię uczy, że cierpienie jest wyzwoleniem; jeżeli powiększa w tobie poszanowanie sumienia innych; jeżeli ci czyni przebaczenie łatwiejszem, szczęście pokorniejszem, obowiązek droższym, zaświat mniej strasznym. Jeżeli tak, to twoja religia jest dobrą, jakiebykolwiek było jej miano—spełnia swoje zdanie, pochodzi ze źródła prawdziwego, zbliża do ludzi i do Boga.

Lecz, gdyby przypadkiem twoja religia przyczyniała się do wywyższania cię nad innych, do zrzędzenia nad tekstem, do przewodzenia nad sumieniem innych, lub oddawania swojego ja w niewolę, do usypiania twoich skrupułów, do praktykowania kultu dla mody lub interesu, do robienia dobrze jedynie z wyrachowania pozagrobowego, o! wówczas czybyś się nazywał wyznawcą Buddy, Mojżesza, Mahometa lub Chrystusa samego, twoja religia nic nie warta, odsuwa cię od ludzi i Boga.

Może nie powinnoby mi być wolno odzywać się w taki sposób; lecz czynili to już inni, wyżsi odemnie, mianowicie Ten, który pytającemu Doktorowi przytoczył przypowieść dobrego Samarytanina. Zasłaniam się Jego powagą.

IV.

MOWA PROSTA.

Język jest wielkim organem, objawiającym myśl, pierwszą widoczną jej postacią. Jaka myśl, taka mowa. Dla zreformowania życia w duchu prostoty, należy czuwać nad mową i piórem. Niechaj mowa będzie prosta jak myśl, niechaj będzie szczera: „Myśl sprawiedliwie, mów szczerze!“

Podstawą stosunków społecznych jest ufność zobopólna, a ta ufność podtrzymywana jest szczerością. Z chwilą zmniejszenia szczerości, ufność się chwieje, stosunki cierpią, chwiejność powstaje. Tak bywa zarówno w dziedzinie spraw materyalnych, jak w dziedzinie spraw duchowych. Z ludźmi, którzy budzą nieufność, jest równie trudno utrzymywać stosunki przemysłowe, jak szukać prawd naukowych, myśleć o porozumieniu religijnem, lub o wprowadzeniu w czyn sprawiedliwości. Kiedy trzeba najpierw sprawdzać i badać intencye każdego, wychodzić z zasady, że wszystko, co się mówi i pisze, ma

za cel podawanie wam złudzenia zamiast prawdy, życie komplikuje się niesłychanie. Tak jest u nas Zbyt wielu mamy zawistnych, dyplomatów, którzy jeden przez drugiego starają się oszukać wzajemnie i dlatego każdemu tak trudno poznać rzeczy najprostsze i najbliżej go zajmujące. Prawdopodobnie to, co powiedziałem, wystarczyłoby do wskazania mej myśli, a doświadczenie własne każdego przyniosłoby bogaty komentarz z ilustracyami w dodatku. Jednak zależy mi na tym punkcie i na przedstawieniu przykładów.

Niegdyś ludzie mieli ograniczone środki komunikowania się wzajemnego. Słusznie przypuszczano, że udoskonalenie i pomnożenie sposobów informacyjnych przyniesie więcej światła. Narody nauczą się kochać, znając się lepiej, obywatele jednego kraju poczują się złączeni braterstwem ściślejszem, będąc lepiej oświeconymi co do wszystkiego, co dotyczy ich życia wspólnego. Z wynalezieniem druku zawołano: *fiat lux!* i powtarzano jeszcze słuszniej, kiedy rozpowszechniony został zwyczaj czytania i zamiłowanie dzienników. Dlaczegoż nie miano rozumować w sposób następujący: dwa światła oświetlają lepiej od jednego, a kilka świateł lepiej od dwóch; im więcej będzie dzienników i książek, tem lepiej ludzie poznają, co się dzieje, a ci, którzy zechcą później pisać historyę, będą szczęśliwi, mając ręce pełne dokumentów. Czyż mogło być coś słuszniejszego? Niestety! opierano to rozumowanie na zaletach i potędze narzędzi, nie biorąc pod uwagę pierwiastku ludzkiego, który jest wszędzie najważniejszym czynnikiem. Otóż sofiści, retorowie, potwarcy, wszyscy ludzie o języku dobrze wyćwiczonym, umiejący lepiej od kogokolwiek władać mową i piórem, skorzystali szeroko ze wszystkich sposobów rozpowszechniania myśli. Cóż z tego wynika? Że współczesnym z najwyższym trudem przychodzi

poznanie własnych spraw i własnych czasów. Na kilka dzienników, które dbają o podtrzymanie dobrych stosunków międzynarodowych, uczciwie badając i zapoznając wzajemnie sąsiadów, ileż jest pism siejących niezgodę i potwarze? Ile prądów niezdrowych i sztucznych, stworzonych w opinii publicznej, głosów fałszywych, zjadliwej interpretacyi, faktów i poglądów! Sprawy nasze wewnętrzne nie są nam lepiej znane od zagranicznych. Trudno nam zdobyć bezstronną opinię zarówno o interesach handlowych, przemysłowych i rolnych, jak o stronnictwach politycznych i dążnościach społecznych, o składzie osób kierujących sprawami publicznemi. W miarę większego czytania dzienników, mniej jasno widzi się rzeczy. Są dnie, w których po przeczytaniu dzienników, pragnąc wierzyć im na słowo, czytelnik musiałby upaść. Kronikarze pożerają się wzajemnie. Czytelnik miałby przed oczami widowisko analogiczne z widowiskiem przedstawionem przez karykaturę zatytułowaną „walka wężów!“ Dwa węże pożarły wszystko wkoło, rzucają się na siebie i jedzą się wzajemnie, aż na polu walki zostają tylko dwa ogony.

Nie tylko ludzie z gminu mają ten kłopot, podziela go inteligencya, cały świat prawie. W polityce, w finansach, w interesach, w nauce, w sztukach, w literaturze, w religii, wszędzie są odwrotne strony, żądła i sieci. Jest prawda na pokaz i druga dla wtajemniczonych. Z tego wynika, że wszyscy są oszukiwani, że ci, którzy najzręczniej wywiedli w pole drugich, z kolei zostali oszukani wówczas, kiedy najbardziej potrzebowali liczyć na szczerość.

Rezultatem tego rodzaju postępowania musi być upodlenie ludzkiego słowa przedewszystkiem w oczach tych, którzy się niem posługują jak nędznem narzędziem. Niema słów nietykalnych dla zrzędów, przekornych, mówców i sofistów, dla wszystkich

ożywionych tylko żądzą utrzymania się przy swojem zdaniu i przedstawieniu go jako najlepsze. Karę dla nich stanowi konieczność sądzenia drugich podług wyznawanej przez siebie zasady: „Mówić to, co korzyść przynosi, nie zaś, co jest prawdą. Nie mogę bezwzględnie ufać nikomu. Smutny stan ducha dla ludzi piszących, mówiących, nauczających. Słuchacze i czytelnicy muszą czuć poniewierkę w podobnego rodzaju postępowaniu! Każdy, kto zachował choć źdźbło uczciwości, czyż może nie być oburzonym ironią, płynącą z ust akrobaty pióra i słowa, usiłującego wywieść w pole ludzi pełnych zaufania. Z jednej strony ufność, szczerość, pragnienie światła, z drugiej łotrowstwo, drwiące z publiczności. Kłamca nie wie, do jakiego stopnia oszukuje sam siebie. Kapitałem, którym obraca jest ufność, a z ufnością w porównaniu może iść tylko nieufność narodu, kiedy się poczuje zdradzonym. Jakiś czas może wierzyć ludziom wyzyskującym jego prostotę. Lecz później przychylne usposobienie zmienia się w odrazę; szeroko rozwarte podwoje zamykają się szczelnie, uszy, niegdyś uważne, przestają słuchać. Niestety! Przestają słuchać nie tylko złego, lecz również dobrego. I oto zbrodnia tych, którzy przekręcają i upadlają słowa, podkopują ufność ogólną. Uważamy za nieszczęście spadek pieniędzy, zniżkę stopy procentowej, ruinę kredytu, ale stokroć większem nieszczęściem jest utrata zaufania, tego kredytu moralnego, udzielanego sobie wzajemnie przez uczciwych ludzi, sprawiającego, że słowo krąży jak moneta autentyczna. Niechaj giną fałszerze słowa i pióra, którzy sprawiają, że nikt nikomu nie ufa!

Widzimy do jakiego stopnia potrzeba, aby każdy się pilnował, wystrzegał swego języka, karcił pióro i dążył do prostoty. Precz z omówieniami, figurami retorycznemi, wykrętami i matactwem! To gmatwa wszystko! Bądźcie ludźmi, miejcie tylko je-

dnę mowę. Godzina szczerości więcej znaczy dla zbawienia świata od całych lat łotrowstwa.

Słówko teraz o pewnem naszem dziwactwie narodowem, zwrócone do tych, którzy grzeszą zbytnią skrupulatnością w mowie i w stylistycznych zwrotach. Zapewne nie należy mieć za złe osobom lubiącym elegancką mowę i lekturę wykwintną. Jestem zdania, że trudno zadobrze powiedzieć to, co jest do powiedzenia. Jednak nie idzie za tem, aby rzeczy najlepiej powiedziane i najlepiej napisane miały być najlepszemi. Słowo powinno służyć faktowi, nie zaś zastępować jego miejsce i zdobiąc zacierać jego istotę. Najwspanialsze rzeczy zyskują na przedstawieniu prostem dlatego, że wówczas przedstawiają się takiemi, jakiemi są: nie rzucajcie na mnie zasłony nawet przezroczystej pięknych frazesów, ani tego cienia tak zgubnego dla prawdy, nazwanego próżnością pisarza lub mówcy. Nie może być nic bardziej silnego i przekonywającego, jak prostota. Są wzruszenia święte, okrutne bóle poświęcenia, wielkie, namiętne porywy, które jedno spojrzenie, jeden ruch, jeden okrzyk, lepiej wyrażą od najpiękniejszych okresów. Wszystko, co ludzkość najcenniejszego posiada w swem sercu, przejawia się najprościej. Prawda tylko przekonać może, a niektóre prawdy są zrozumialsze o wiele, kiedy wychodzą z ust prostych, nieudolnych nawet, aniżeli gdy płyną potokiem z wyćwiczonego języka, lub są głoszone siłą płuc donosłych. Te zasady są dobre dla każdego w życiu codziennem. Nikt nie może sobie wyobrazić, jaką miałby korzyść w życiu moralnem z pilnego i stałego obserwowania tej zasady: być prawdziwym, wstrzemięźliwym w wyrażaniu swych uczuć i przekonań tak prywatnie, jak publicznie, nie przekraczać

nigdy miary, wyrażać wiernie to, co czujemy, a nadewszystko pamiętać. Oto podstawa.

Główne niebezpieczeństwo pięknych słów stanowi to, że żyją życiem własnem. Przypominają wysoko postawionych dygnitarzy, którzy zachowali tytuły, nie pełniąc obowiązków, jak to widzimy nieraz na dworach monarszych. Napisałeś dobrze, powiedziałeś dobrze: to dobrze, to wystarcza.

Iluż jest ludzi, którzy zadawalają się mówieniem i sądzą, że to ich uwalnia od działania? Ci, którzy słuchają, są zadowoleni, że słyszeli mówiących. Tym sposobem życie może się składać z kilku zręcznych przemówień, kilku pięknych książek, kilku dobrych sztuk teatralnych. Co do wprowadzenia w czyn tego wszystkiego tak po mistrzowsku przedstkwionego, o tem się nie myśli. Jeżeli przejdziemy z dziedziny ludzi genialnych do niższych sfer, w których się obracają mierni, tam w ciemnym natłoku zobaczymy kręcących się wszystkich sądzących, że jesteśmy na ziemi tylko dla mówienia i słuchania mów, olbrzymią i rozpaczliwą ciżbę gadułów, którzy skrzeczą, paplą, perorują i w końcu twierdzą, że za mało mówili. Zapominają wszyscy, że ci, którzy najmniej hałasują, najwięcej pracują. Machina, która całą parę zużyje na świstanie, nie może jej mieć dosyć na poruszanie kół. Szanujcie milczenie. Wszystko, co oszczędzicie na wrzawie, zyskacie na sile.

Refleksye te prowadzą nas do zajęcia się przedmiotem pokrewnym bardzo, godnym uwagi, mianowicie tak zwaną przesadą w mowie. Badając mieszkańców jednej okolicy, spostrzegamy między nimi różnice temperamentu, odbijające się silnie w języku. Tutaj są więcej flegmatyczni i spokojni: używają zdrobnień złagodzonych, słabszych określeń. Tam

charaktery są bardzo zrównoważone: słyszymy wyrażenia ścisłe, dokładnie przystosowane do rzeczy. Gdzieindziej, wskutek gleby, powietrza, wina może, gorąca krew krąży w żyłach: widzimy porywczość, egzaltacyę, przesadę; superlatywy ubarwiają mowę, a dla przedstawienia najprostszych rzeczy używane są stopnie najwyższe.

Jeżeli język odmienia się stosownie do klimatu, epoki również wpływają na jego przeobrażenie. Porównajcie język współczesny z językiem różnych okresów naszej historyi. W dawniejszych czasach mówiono inaczej niż w epoce rewolucyi; my całkiem inaczej się wyrażamy niż ludzie z 1830 roku, 1848 lub drugiego cesarstwa. Nie nosimy peruki, nie kładziemy do pisania koronkowych mankietów, język nasz jest o wiele prostszy, lecz istnieje pewne znamię odróżniające nas od wszystkich prawie przodków naszych, a tem znamieniem jest nasza nerwowość, źródło wszelkiej naszej przesady.

Na systematach nerwowych podnieconych, nieco chorobliwych, a Bóg widzi, że posiadanie nerwów przestało być przywilejem arystokratycznym, słowa nie wywołują takiego samego wrażenia, jak na człowieku normalnym. Również człowiekowi nerwowemu nie wystarcza wyrażenie proste, kiedy usiłuje wypowiedzieć to, co czuje. W życiu codziennem, w życiu publicznem, w literaturze, teatrze, język spokojny i umiarkowany ustępuje miejsca mowie przesadnej. Środki, użyte przez powieściopisarzy i komedyopisarzy dla zgalwanizowania umysłu publicznego i zwrócenia jego uwagi, spotykamy w pierwiastkowym stanie w naszych najzwyklejszych rozmowach, w stylu listowym, nadewszystko w polemice. Nasze procedery językowe wydają się dla człowieka statecznego i spokojnego takiemi, jak nasze pismo w porównaniu z pismem naszych ojców. Oskarżają pióra stalowe; gdybyż to mogło być prawdą!

A więc zbawiłyby nas gęsi. Lecz zło jest głębszem, tkwi w nas samych. Pismo nasze jest pismem ludzi wzburzonych i rozprzężonych; pióro naszych przodków biegło po papierze spokojnie i pewnie. Tutaj stajemy wobec jednego z rezultatów życia nowoczesnego, tak skomplikowanego i złożonego, które w straszliwy sposób pochłania energię, która nas niecierpliwi, morduje, w wieczystą wprowadza gorączkę. Język nasz, zarówno jak pismo, odczuwają i zdradzają to oddziaływanie. Od skutku sięgnijmy do źródła i zrozumiejmy dane nam ostrzeżenie. Niewierni tłómacze własnych wrażeń, możemy tylko tą przesadą paczyć umysły bliźnich i nasze własne. Pomiędzy ludźmi przesadzającymi nie wiadomo czego się trzymać. Podrażnienie charakterów, dyśputy gwałtowne i jałowe, sądy powierzchowne, niczem nieuzasadnione, najpoważniejsze wybryki w wychowaniu i stosunkach społecznych—oto rezultaty nieumiarkowania w języku.

Niechaj mi będzie dozwolonem w tej odezwie do języka prostego sformułowanie życzenia, którego spełnienie doprowadziłoby do najszczęśliwych wyników. Żądam literatury prostej, nietylko jako jednego z lepszych środków zaradczych dla naszych dusz zblazowanych, wyczerpanych, zmordowanych ekscentrycznościami, lecz również jako zadatku i źródła połączenia społecznego. Żądam również sztuki prostej. Nasze sztuki i nasza literatura są przeznaczone dla wybrańców losu i nauki. Proszę jednak o zrozumienie właściwe: nie zachęcam poetów, powieściopisarzy i malarzy, aby zstąpili z wysokości, stanęli w poziomie, lubując się w miernocie; przeciwnie, niechaj wznoszą się coraz wyżej.

Popularnem jest nie to, co odpowiada jednej sferze społecznej, zwanej zazwyczaj sferą pospolitą; popularnem jest to, co wspólne wszystkim i łączy wszystkich. Źródło natchnienia, z którego mogłaby

wytrysnąć sztuka prosta, tkwi w głębokościach serca ludzkiego, w wieczystej istocie życia, wobec której wszyscy są równi. Zródeł języka popularnego należy szukać w niewielkiej liczbie form prostych i silnych, wyrażających zasadnicze uczucia i główne linie przeznaczenia ludzkiego. Tam jest prawda, siła, wielkość, nieśmiertelność. Czyż podobny ideał nie mógłby zapalić młodych ludzi, którzy, czując w sobie płonący święty ogień piękna, znają litość i od wzgardliwego przysłowia: *Odi profanum vulgus* wolą to drugie, bardziej ludzkie: *Misereor super turbam*. Co do mnie, nie posiadam żadnej powagi artystycznej, lecz z głębi tłumu, w którym przebywam, wolno mi zwrócić się do wszystkich obdarzonych talentem i zawołać: Pracujcie dla tych, o których zapomniano. Dajcie się zrozumieć ubogim i pokornym. Dopełnicie dzieła wyzwolenia i ukojenia; otworzycie napowrót źródła, w których czerpali ci mistrze, których twory urągały wiekom, ponieważ oni umieli geniusz przyoblec w prostotę.

V

OBOWIĄZEK PROSTY.

Kiedy mówimy do dzieci o przedmiocie, który je nudzi, odwracają czemprędzej naszą uwagę, wskazują gołębia na dachu, konia na ulicy itp. Niekiedy zadają pytania złośliwe, wprawiając rodziców w kłopot — wszystko dla odwrócenia uwagi od drażliwego przedmiotu. Lękam się, czy my nie jesteśmy takiemi dużemi dziećmi, gdy chodzi o obowiązek i czy nie szukamy rozmaitych wykrętów, kiedy idzie o ten obowiązek.

Pierwszym wybiegiem jest pytanie, czy istnieje obowiązek wogóle i czy to słowo nie pokrywa jednego z licznych złudzeń naszych przodków, gdyż wyraz „obowiązek“ każe się domniemywać, że tu chodzi o wolność, a kwestya wolności prowadzi nas w sfery metafizyczne. Jakże mówić o obowiązku dziś, jeżeli ważne zagadnienie wolnej woli nie jest rozwiązanem? Teoretycznie niema nic do zarzucenia. I gdyby życie było teoryą, gdybyśmy istnieli dla wyprowadzenia

skończonego systemu wszechświata, byłoby rzecznością zajmować się obowiązkiem przec zaniem wolności, przed określeniem jej w i granic.

Lecz życie nie jest teorją. Na tyn moralności praktycznej, jak na wszelkich in cie wyprzedziło teorję i niema żadnej zas wierzenia, że kiedykolwiek ustąpi miejsca. ność, względna przyznaję, jak wszystko, co znamy, ten obowiązek, co do którego zadawa bie pytanie czy istnieje, stanowią nie mniej p wę wszelkich sądów naszych o nas samych i c źnich. Uważamy się wzajemnie za odpowiedzialny do pewnego stopnia za nasze uczynki i ruchy.

Najzawziętszy teoretyk, gdy tylko porzuci sw ją teorję, bez najmniejszego skrupułu gani i pc pia czyny bliźniego, występuje przeciw swym v gom, odwołuje się do wspaniałomyślności, spra dliwości tych, których chce odwieść od niegodn kroku. Równie trudno pozbyć się poczucia obowią ku moralnego, jak poczucia czasu i przestrzeni i tak jak musimy zdecydować się iść, zanim zdoła my określić przebywaną przestrzeń i czas mierzący nasze ruchy, tak również musimy się poddać obowiązkowi moralnemu, zanim dotkniemy palcami jego głębokich korzeni. Prawo moralne panuje nad człowiekiem, czy on je przekracza, czy też je szanuje. Patrz na życie codzienne: każdy jest gotów do rzucenia kamieniem na tego, który nie dopełnia widocznego obowiązku, choćby nawet dowiódł, że nie doszedł jeszcze do filozoficznej pewności. Każdy mu powie i będzie miał słuszność powiedzieć: „Panie, jest się człowiekiem przedewszystkiem; speł... i co do ciebie należy, spełnij obowiązek obywatela, ojca, syna i t. d., a dopiero podejmiesz bieg swych rozumowań".

Prosimy jednak o zrozumienie. Nie chcemy od-

ć nikogo od badań filozoficznych, od skrupulat- zgłębienia podstaw moralności. Niema myśli ącej człowieka do tych ważnych zagadnień, mogła być niepotrzebną, lub obojętną; nieamy tylko myślicielowi, aby mógł czekać na ...enie tych podstaw z dopełnieniem czynu ...ści, uczciwości lub nieuczciwości, odwagi lub ...ści. Nadewszystko idzie nam o sformułowanie wiedzi, właściwej do przedstawienia nam samym, yśmy chcieli uciec się do naszego stanu wątości filozoficznej dla usprawiedliwienia naszych ...ekroczeń praktycznych. Dlatego samego, że się est człowiekiem, bez względu na wszelką teorję pozytywną lub negatywną w stosunku do obowiązku, owinniśmy mieć stałą zasadę postępowania jak łowiek.

Lecz znalibyśmy źle zasoby serca ludzkiego, ybyśmy liczyli na skutek podobnej odpowiedzi hociaż właściwie niema na nią repliki, to jednak ie można niedopuścić do powstania nowych pytań. Liczba naszych pretekstów celem uchylenia się od obowiązku równa się liczbie ziarnek piasku w morzu albo gwiazd na niebie.

Zasłaniamy się obowiązkiem sprzecznym. Zapewne są to słowa, wywołujące bolesne wspomnienia. Być człowiekiem obowiązku, a wątpić o swej drodze, błądzić w ciemnościach, widzieć się na pastwie sprzecznych wymagań różnych obowiązków, lub wreszcie znaleźć się wobec obowiązku olbrzymiego, druzgocącego, przechodzącego nasze siły, czyż może być coś bardziej okrutnego? Jednak to się zdarza. Nie zaprzeczamy strasznego tragizmu niektórych wydarzeń i rozdzierającego bólu niejednego życia. Rzadko jednak obowiązek musi przedzierać się przez taki konflikt okoliczności i wytryskiwać z umysłu, jak błyskawica z chmur ciemnych. Wstrząśnienia tego rodzaju są wyjątkowe. Szczęśliwie, kiedy możemy

je podtrzymać; lecz jeżeli nikt się nie dziwi, że burze i huragany wyrywają z korzeniami dęby, że przechodzień błądzi i potyka się nocą na nieznanej drodze, że żołnierz, w dwa ognie wzięty, jest pokonany, to znów nikt nie potępi także bez odwołania tych, którzy pokonani zostali w nadludzkich, moralnych walkach. Uledz liczbie i niezwalczonym przeszkodom nigdy nie stanowiło hańby.

Podam broń moją tym, którzy się zasłaniają niezdobytą zaporą obowiązku ciemnego, skomplikowanego, sprzecznego. Dzisiaj nie to mnie zajmuje: chcę mówić o obowiązku prostym, powiem właściwie o obowiązku łatwym.

Mamy w ciągu roku trzy lub cztery wielkie uroczyste święta, a obok nich dni powszednich mnóstwo. Podobnież obok kilku wielkich i ciemnych walk do stoczenia, mamy dużo drobnych, prostych i jasnych obowiązków. Otóż, podczas kiedy w wielkich potyczkach postawa nasza jest zazwyczaj zadawalająca, słabniemy często w drobnych okolicznościach. Bez obawy pociągnięcia paradoksalną formą myśli, oświadczę zatem: gruntem jest spełnianie obowiązku prostego, przyzwyczajanie się do sprawiedliwości pierwiastkowej. Wogóle ci, którzy gubią duszę, gubią ją nie dlatego, że nie mogą dosięgnąć poziomu obowiązku trudnego, że nie dopełniają tego, co niemożliwe, lecz dlatego, że zaniedbują spełnienia „obowiązku prostego". Uplastycznimy tę prawdę przykładami.

Ktokolwiek próbuje przeniknąć niższe i ubogie warstwy społeczne, odkrywa w nich szybko wielką nędzę fizyczną i moralną. W miarę patrzenia bliższego, zjawia się coraz większa liczba ran i stopniowo ten świat wydziedziczonych występuje jako ponury bezkres czarny, wobec którego jednostka ze swemi środkami zaradczemi zdaje się być doprowadzoną do niemocy. Prawda, pcha człowieka chęć spieszenia z pomocą, lecz jednocześnie pyta: na co? Położenie straszne. Niektórzy wychodzą z niego, nic sobie nie robiąc z rozpaczy. Życie ich jałowe, chociaż nie brakuje im litości, ani dobrych chęci. Nie mają racyi. Często człowiek niema środków robienia dobrze na wielką skalę, lecz nie powinien dlatego zaniedbywać się w drobiazgach. Tyle ludzi nic nie robi dlatego, że jak twierdzą, zbyt wiele jest do zrobienia. Należy im wskazać prosty obowiązek. Ten obowiązek w wypadku, który nas zajmuje, brzmi: niech każdy w miarę swych zasobów, zdolności i władzy, stwarza sobie stosunki w wydziedziczonych środowiskach. Są ludzie, ktorzy przy odrobinie dobrej woli dochodzą do wślizgnięcia się w otoczenie ministrów, w towarzystwo mężów stanu. Dlaczegoż więc miałoby być trudnem zawiązanie stosunków z ludźmi ubogimi, zawarcie znajomości z robotnikami, którym brak najniezbędniejszych rzeczy? Raz poznawszy kilka rodzin z ich historyą, ich przeszłością, ich kłopotami, możesz im być niesłychanie pożytecznym, robiąc poprostu co jest w twojej mocy, stosując miłość braterską pod postacią pomocy moralnej i materyalnej. Obejmiesz co prawda małą tylko cząstkę, lecz zrobisz, co byłeś w stanie zrobić i pociągniesz innych swym przykładem. Postępując w ten sposób, nie tylko stwierdzisz, że istnieje w społeczeństwie dużo nędzy, głuchej nienawiści, niezgody występku, lecz wprowadzisz nieco dobrego. Gdyby tylko liczba podobnych do ciebie ludzi dobrej woli wzrastała, stopniowo ustępowałoby widocznie zło na korzyść dobra. A choćbyś sam jeden czynił dobrze, nikogo nie pociągając, trzeba ci przyznać, że dopełniłeś rzeczy rozumnej, prostego i dziecinnego obo-

wiązku, który występował przed tobą. Wówczas odkryłeś jednę z tajemnic dobrego życia.

Ambicya ludzka ogarnia w swych marzeniach szerokie przestworza, lecz rzadko kiedy dane nam jest uczynić coś wielkiego, a nawet wówczas powodzenie szybkie i pewne opiera się zawsze na cierpliwem przygotowaniu. Wytrwałość w drobiazgach jest podstawą każdego wielkiego czynu. Zapominamy o tem. Jednak, jeżeli istnieje prawda niezbędna do poznania, to ta prawda jest nią przedewszystkiem, zwłaszcza w epokach trudnych i w ciężkich przełomach istnienia. W chwili rozbicia okrętu kawałek masztu, deski lub wiosła może się stać niejednemu ocaleniem. Na burzliwych falach życia, kiedy wszystko zdaje się być rozbitem na okruchy, pamiętajmy, że jeden z tych biednych okruchów może być ostatnią deską ratunku. Demoralizacya polega na pogardzaniu resztkami.

Dotknęła cię ruina, ciężka żałoba pokryła twoje serce, w oczach twoich przepadał owoc długiej, znojnej pracy. Nie możesz ocalić majątku, wskrzesić umarłych, odzyskać położonych trudów. Wszystko stracone, opadają ci ręce. Zaniedbujesz swoją osobę, dom, dzieci. Jest to usprawiedliwione i rozumiemy cię dobrze. Lecz jakież niebezpieczeństwo ci grozi! Zaniedbanie pogarsza zło. Ty, który sądzisz, że niemasz nic do stracenia, stracisz to, co ci jeszcze pozostaje. Zbierz szczątki swego dobra, miej o niem pieczę troskliwą. Te szczątki dadzą ci pociechę. Dopełniony wysiłek przychodzi nam z pomocą, jak zaniedbany wysiłek zwraca się przeciwko nam. Jeżeli ci jedna gałązka pozostanie do zaczepienia, uczep się tej gałązki i jeżeli samemu przyjdzie ci bronić sprawy, która się wydaje przepadłą, nie rzucaj broni, nie uciekaj z innymi. Nazajutrz po potopie kilku ocalonych zaludniło ziemię Przyszłość może niekiedy spoczywać na jednej głowie, podobnie jak się zdarza, że życie wisi na włosku. Szukaj natchnienia w historyi i w naturze: i jedna i druga nauczą cię swemi znojnemi ewolucyami, że klęski i pomyślności mają wypływać z najmniejszych przyczyn, że niewolno zaniedbywać żadnego szczegółu, że nadewszystko należy umieć czekać i rozpoczynać.

Mówiąc o obowiązku prostym, nie mogę nie pomyśleć o życiu wojskowem i o przykładach, jakie ono dostarcza bojownikom tej wielkiej walki, zwanej życiem. Źle rozumiałby swój obowiązek żołnierz, który z chwilą rozbicia armii przestałby czyścić swoje ubranie, nabijać fuzyę, szanować dyscyplinę. Na co? może powiecie. Na co? Czyż niema różnych sposobów zostania pobitym? Czyż można dodawać zniechęcenie, nieład, rozprzężenie do całego nieszczęścia pogromu? Nie. Nie należy nigdy zapominać, że najmniejszy czyn energii w takich strasznych chwilach, jest wątłem światełkiem w ciemnościach nocy. Jest znakiem życia i nadziei. Każdy rozumie, że jeszcze wszystko nie jest stracone.

Podczas rozpaczliwego odwrotu w 1813 i 1814 roku, w samym środku zimy, kiedy już niepodobieństwem było pilnowanie jakiegokolwiek umundurowania, pewnego poranku jeden z generałów stanął przed Napoleonem wygolony, w pełnym uniformie. Zobaczywszy go w chwili pogromu, tak starannie ubranego, jakby szedł na przegląd, cesarz zawołał: „Generale, jesteś dzielnym człowiekiem!“

Obowiązek prosty jest również obowiązkiem blizkim. Bardzo pospolita słabostka nie pozwala często ludziom uważania za zajmujące tego, co blizko nich się znajduje; widzą tylko złe jego strony. Przeciwnie, wszystko, co dalekie, pociąga i za-

chwyca i tym sposobem bajeczna suma dobrej woli rozchodzi się daremnie. Zapalamy się dla ludzkości, dla dobra publicznego, dla dalekich nieszczęść, idziemy przez życie z oczami utkwionemi w czarowne przedmioty, które nas przykuwają na krańcach horyzontu, a równocześnie depczemy biednych przechodniów, potrącamy ich łokciem, nie widząc zupełnie

Dziwne kalectwo, nie dające nam widzieć znajdujących się obok! Niektórzy ludzie zatapiają się w czytaniu, odbywają dalekie podróże, nie znają zaś współobywateli ani wielkich, ani małych, żyją dzięki współudziałowi nieskończonej ilości istot, których los jest im zupełnie obojętnym. Ani ci, którzy ich nauczają, objaśniają, rządzą nimi, ani ci, którzy im służą, zaopatrują, żywią, nie zwracają ich uwagi. Oni nie pomyśleli nigdy, że to jest niewdzięcznością i nieprzezornością nie znać swoich robotników, służących, tej garstki istot, z któremi nas łączą stosunki społeczne nieuniknione. Inni posuwają się jeszcze dalej. Dla niektórych żon mąż jest nieznanym i odwrotnie. Są rodzice, którzy nie znają dzieci. Ich rozwój, myśli, niebezpieczeństwa grożące, nadzieje, jakie żywią, stanowią dla nich księgę zamkniętą. I nie mówię o złych małżeństwach, o tych smutnych środowiskach, w których wszystkie stosunki są spaczone; mam na myśli uczciwe rodziny, złożone z uczciwych ludzi. Lecz świat jest strasznie zaabsorbowany. Każdy ma swoje jakieś sprawy, które cały jego czas pochłaniają. Obowiązek daleki, bardzo pociągający, nie przeczę, odwołuje ludzi całkowicie, tak, że nie znają obowiązku bliskiego. Daremne może ich trudy. Podstawą działalności każdego jest pole jego bezpośredniego obowiązku. Zaniedbując tę podstawę, narażasz swoje przedsięwzięcia dalekie. Służ najpierw swemu kościołowi, krajowi, miastu, domowi, warsztatowi i dopiero, jeżeli

możebne, wychodź ztamtąd, aby dążyć dalej—oto pochód prosty i naturalny. Musi człowiek z wielkim trudem zasłaniać się tarczą niegodnych przyczyn, aby dojść do zwrócenia się w odwrotnym kierunku. W każdym razie rezultatem tak dziwnego pomieszania obowiązków jest, że często ludzie zajmują się tysiącem spraw, z pominięcem tego, czego mamy prawo od nich wymagać. Oddalają się ze swych stanowisk, nie znają swego zadania, słowem, komplikują życie. A jednak byłoby rzeczą tak prostą, gdyby wszyscy myśleli tylko o tem, co do nich należy.

Inna forma prostego obowiązku. Jeżeli jaka szkoda jest popełniona, kto powinien ją naprawić? Ten, który ją zrobił. Prawda, lecz to jest tylko teoryą. Następstwem tej teoryi byłoby, że należałoby pozostawić zło nietkniętem aż do znalezienia winowajców i do zmuszenia ich do naprawy. Lecz jeżeli trudno ich znaleźć, lub jeżeli nie mogą i nie chcą zadość uczynić?

Deszcz pada na wasze głowy przez dachówkę złamaną, lub wiatr przenika do mieszkania przez stłuczoną szybę. Czyż będziecie czekali ze sprowadzeniem szklarza i dekarza na wykrycie istotnego winowajcy? Byłoby to niedorzecznością, nieprawda? A jednak jest to często praktykowane. Dzieci wołają z oburzeniem: „Nie ja rzuciłem ten przedmiot, nie ja będę go podnosić!“ Większa część ludzi rozumuje w ten sposób. To logiczne. Lecz nie jest to ta logika, która wpływa na postęp świata.

Należy wiedzieć—i życie nam to powtarza codziennie, że szkody, uczynione przez jednych, są wynagradzane przed drugich. Jedni niszczą, drudzy budują; jedni brudzą, drudzy oczyszczają; ci wzniecają kłótnie, tamci je łagodzą; ci łzy wyciskają, tamci sieją pociechę; ci żyją niegodziwie, tamci umierają

dla sprawiedliwości. W dopełnieniu tego prawa bolesnego spoczywa zbawienie. To jest również logiczne, lecz tą logiką faktów, wobec której blednie logika teoryi. Wniosek do wyprowadzenia z tego jest bardzo łatwy. Człowiek o sercu prostem powie: biorąc pod uwagę zło, najważniejszą rzeczą jest naprawienie go i to natychmiastowe; byłoby bardzo dobrze, gdyby winowajcy chcieli się do tego przyczynić, lecz doświadczenie uczy, że na ich współudział zbytecznie liczyć nie można.

Choćby najprostszym był obowiązek, do spełnienia go trzeba mieć siłę. Na czem polega ta siła i gdzie się ona znajduje? To niewyczerpany temat do mówienia. Obowiązek jest dla człowieka niemiłym i wrogim dotąd, dokąd przedstawia mu się tylko jako potrzeba zewnętrzna. Wchodzi drzwiami, człowiek ucieka oknem, zatyka okna, człowiek przez dach się wysuwa. W miarę widoczniejszego pojawienia, unikany jest najstaranniej. Przypomina żandarma, przedstawiciela siły publicznej i urzędowej sprawiedliwości, którego zręczny filut uniknie zawsze. Niestety, choćby żandarm zdołał pochwycić go za kołnierz, mógłby co najwyżej przywrócić go na stanowisko, nie zaś na uczciwą drogę. Aby człowiek spełnił swój obowiązek, musi dostać się w ręce innej siły, niż ta siła, która mówi: zrób to, albo tamto, unikaj tego, lub tamtego, inaczej źle będzie z tobą!

Tą siłą inną, wewnętrzną, jest miłość. Kiedy człowiek nienawidzi swoje rzemiosło, lub oddaje mu się z niedbałością, wszystkie potęgi ziemi nie skłonią go do zapału. Ten, który kocha swoje zadanie, idzie sam; nie tylko niema potrzeby go przymuszać, lecz oderwanie od niego przyszłoby z trudem. Ze wszystkimi dzieje się tak samo. Najważniejszą rzeczą jest poznanie całej świętości i wieczystego piękna naszego ciemnego przeznaczenia; jest doprowadzenie szeregiem doświadczeń do umiłowania tego życia, dla jego bólów i nadziei, ludzi, dla ich nędzy i szlachetności; jest stosowanie humanitaryzmu sercem inteligentnem i całem swojem jestestwem. Wówczas nieznana siła nami włada, jak wiatr żaglami okrętu i porywa ku litości i sprawiedliwości. Ulegając tej nieprzepartej mocy, mówimy: „Nie mogę inaczej, to byłoby nad moje siły“. Wyrażając się w ten sposób, ludzie wszystkich wieków i wszystkich środowisk wskazują potęgę wyższą nad człowieka, lecz pozostającą w sercu ludzi.

Wszystko, co mamy prawdziwie podniosłego przedstawia nam się jako objawienie tej tajemnicy, przechodzącej nasze pojęcie. Wielkie uczucia, zarówno jak wielkie myśli i wielkie czyny, są dziełem natchnienia. Kiedy drzewo pokrywa się zielonością i wydaje owoce, czerpie w ziemi siły żywotne, a od słońca otrzymuje światło i ciepło. Jeżeli człowiek w nędznej swej sferze szczerze się oddaje swemu zadaniu, wpośród nieświadomości i nieuniknionych pomyłek, to dlatego, że jest w zetknięciu ze źródłem przedwiecznem dobra. Ta siła potężna objawia się w tysiącznych różnorodnych formach: jako energia niezwalczona, jako tkliwość pieszczotliwa, jako duch wojowniczy napadający i niszczący zło, jako troskliwość macierzyńska, która życie zapomniane i złamane ratuje z nad brzegu przepaści, gdzie stoczyć się miało, jako wreszcie pokorna cierpliwość długich poszukiwań... Lecz wszystko, czego dotknie, nosi jej piętno, a ludzie, tą siłą ożywieni, czują, że jej zawdzięczają istnienie i życie. Służyć jej uważają za szczęście i nagrodę. Wystarcza im być narzędziem tej siły; nie zwracają uwagi na blask zewnętrzny działalności, wiedząc, że niema nic wielkiego, ani nic małego, lecz że wartość życia i czynów naszych zależy od ducha, jaki je ożywia.

VI.

POTRZEBY PROSTE.

Jeżeli kupujemy ptaka u ptasznika, w kilku słowach dowiadujemy się szczegółów o hygienie, pożywieniu, słowem o wszystkiem, co dotyczy ptaszyny. Podobnie dla streszczenia zasadniczych potrzeb większej części istot kilka ogólnych wskazówek wystarczy. System ich życia jest nadzwyczaj prosty, i o ile nim się kierują, czują się dobrze, jak posłuszne dzieci matki-natury. Z chwilą, kiedy o nim zapominają, nadchodzą komplikacye, zdrowie szwankuje, wesołość znika. Jedynie życie proste i naturalne może utrzymać siłę organizmu. Zapominając o tej elementarnej zasadzie, podlegamy najdziwniejszym zboczeniom.

Czego potrzeba człowiekowi, aby żyć materyalnie w możliwie najlepszych warunkach? Zdrowego pożywienia, zdrowego mieszkania, szat skromnych, powietrza, ruchu. Nie będę wchodził w szczegóły hygieny, układał *menu*, przedstawiał wzory mie-

szkań i kroju ubrania. Moim celem jest wskazanie kierunku i korzyści, jaka wypłynęłaby dla każdego w urządzeniu życia w duchu prostoty. Dla przekonania, że ten duch panuje w należytej mierze w naszem społeczeństwie, wystarczy zobaczyć życie wszystkich sfer ludzi. Zapytajcie kilku jednostek ze środowisk całkiem odrębnych: Czego potrzebujecie do życia?... Zobaczycie, co odpowiedzą. Nie może być nic bardziej pouczającego.

Dla jednych mieszkańców asfaltu paryzkiego niema życia możliwego po za pewnym obrębem, objętym kilku bulwarami. Tam powietrze możliwe do oddychania, oświetlenie dobre, temperatura normalna, kuchnia wytworna, tyle innych rzeczy, bez których życie nie byłoby nic warte.

Na wszystkich szczeblach życia mieszczańskiego, na pytanie, czego potrzeba do egzystencyi, odpowiadają cyfrą, zmieniającą się stosownie do stosunków ambicyi lub wychowania, a przez wychowanie rozumieją najczęściej przyzwyczajenia zewnętrzne życia, sposób mieszkania, ubrania, pożywienia, wychowanie całkiem powierzchowne. Po za pewną cyfrą dochodu, zysku, pensyi, życie staje się możliwem. Inaczej niepodobna istnieć. Widziano ludzi odbierających sobie życie dlatego, że ich majątek spadł niżej pewnego określonego minimum. Woleli nie żyć, niż się ograniczyć.

Zaznaczcie, że to minimum, przyczyna ich rozpaczy, byłoby niezawodnie możliwem dla wielu innych, mniej wymagających, a przedmiotem zazdrości dla ludzi jeszcze skromniejszych potrzeb.

W wysokich górach flora bywa różnorodna, stosownie do wysokości. Jest sfera kultur zwyczajnych, dalej sfera lasów, pastwisk, nagich skał i lodowców. Po za pewnym pasem niema zboża, lecz winna macica prosperuje; dąb rośnie tylko w niższych strefach, jodła lubuje się w znacznych wyso-

kościach. Życie ludzkie ze swemi potrzebami przypomina te zjawiska przyrody.

Na pewnej wysokości majątkowej widzimy powodzenie bankierów, wielkich światowców, członków klubu, wreszcie tych wszystkich, dla których *minimum* stanowi pewna liczba służby i ekwipaży, kilka mieszkań na wsi i w mieście. Następnie widzimy bogatego mieszczanina ze swemi zwyczajami i przyzwyczajeniami. W innych sferach kwitnie dobrobyt szeroki, mierny, skromny i bardzo nierówne kategorye wymagań. Dalej widzimy niższą sferę, rzemieślników, robotników, chłopów, cały tłum szary, który zbity i ścieśniony, żyje jak trawa na szczytach gór, gdzie większe rośliny nie znajdują dla siebie pożywienia. We wszystkich tych odrębnych kołach społecznych ludzie żyją z takiem samem jak inni prawem do człowieczeństwa. Wydaje się dziwnem, aby między bliźnimi mogły istnieć tak niesłychanie wielkie różnice potrzeb. Tutaj analogie naszego porównania nas opuszczają. Rośliny i zwierzęta jednych rodzin mają potrzeby identyczne. Zycie ludzkie prowadzi do sprzecznych spostrzeżeń. Czyż można inne wnioski wyprowadzić, niż te, że istnieje wielka elastyczność w naturze i w liczbie naszych potrzeb!

Czy jest pożytecznem, czy jest sprzyjającem dla rozwoju jednostki i dla jej szczęścia, dla rozwoju i dla szczęścia społeczeństwa, aby człowiek miał mnóstwo potrzeb i aby usiłował je zadawalać? Przedewszystkiem wróćmy do porównania naszego z istotami niższemi. O ile ich pierwiastkowe potrzeby są zaspokojone, niczego więcej nie pożądają. Czyż podobnie się dzieje w społeczeństwie ludzkiem? Bynajmniej. Na wszystkich szczeblach spotykamy niezadowolenie. Wyłączam zupełnie tych, którzy nie mają zaspokojonych najniezbędniejszych potrzeb. Nie można przyłączać do niezadowolonych istot, którym zimno, głód i nędza wyciskają jęki. Zajmo-

wać się będę tylko nieskończenie dużą liczbą ludzi, żyjących w warunkach względnie znośnych. Zkąd pochodzi ich niezadowolenie? Dlaczego je spotykamy nietylko u osób będących na stanowisku skromnem choć przyzwoitem, lecz również w odcieniach coraz więcej wyrafinowanych, u ludzi opływających we wszystko, na szczycie wyżyn społecznych?

Fakt, że ci, którzy się skarżą najwięcej, mają właśnie najwięcej danych do zadowolenia, dowodzi, że szczęście nie jest związane z liczbą potrzeb i z gorliwością naszą w ich zaspakajaniu. Każdego dotyczy przejęcie się tą prawdą. Jeżeli tego nie robi, jeżeli wysiłkiem energii nie dochodzi do ograniczenia swych wymagań, naraża się na niedostrzegalne staczanie po pochyłości pożądań.

Człowiek, który żyje dla jedzenia, picia, ubierania się, bawienia, dostarczania sobie wszystkiego, czego może sobie dostarczyć, czy będzie darmozjadem, wygrzewającym się na słoncu, robotnikiem pijakiem, czy mieszczaninem myślącym tylko o jedzeniu, kobietą pogrążoną w swych strojach, nędznym czy głośnym *viveur'em*, czy poprostu epikuryjczykiem pospolitym, lecz poczciwym chłopakiem, zbyt uległym potrzebom materyalnym—człowiek ten, mówimy, zsuwa się po pochyłości żądz, a ta pochyłość jest fatalną. Ci, którzy po niej się staczają, podlegają tym samym prawom, co ciała spadające po pochyłej powierzchni. Podlegli złudzeniu, nieustannie odnawiającemu się, mówią: jeszcze kilka kroków, ostatnich, ku temu przedmiotowi, który budzi naszą pożądliwość... Następnie zatrzymują się. Nabyta szybkość ich pociąga. W miarę posuwania się tracą siłę oporu.

Oto tajemnica wzburzenia, zapamiętałości wielu ludzi współczesnych. Oddawszy wolę w niewolę żądz, ponoszą karę zasłużoną. Nieubłagane, dzikie pragnienia żrą ich ciało, wysuszają kości, sączą krew

i nigdy nie mają dosyć. Nie głoszę tutaj transcendentalnej moralności, słucham głosu życia, zaznaczając niektóre prawdy, których echem wszystkie rozlegają się rozdroża.

Pijaństwo, wzbogacone pomysłami nowemi, czyż znalazło sposób ugaszenia pragnienia? Nie, możnaby je raczej nazwać sztuką podtrzymywania pragnienia i podsycania go wiecznie. A wyuzdanie czy przytępia podnietę zmysłów? Również nie, jątrzy ją tylko i zamienia naturalne pragnienie na chorobliwe żądze, na jakąś *idée fixe*. Puszczając wodze potrzebom i podtrzymując je, rozmnaża się je, jak owady na słońcu. Im więcej dajesz, tem więcej później żądają. Szukać szczęścia jedynie w dobrobycie, znaczyłoby chcieć napełnić beczkę Danaid. Tym, którzy mają miliony, brakuje milionów, tym, którzy mają tysiące, brakuje tysięcy. Innym brakuje franków, a innym jeszcze centymów. Kiedy mają kurę w garnku, żądają gęsi; zdobywszy gęś, pragną indyka i tak dalej. Trudno obliczyć, do jakiego stopnia zgubną jest taka dążność. Zbyt wielu ubogich pragnie naśladować bogatych, zbyt wielu robotników małpuje mieszczan, zbyt wiele dziewczyn z ludu, które pozują na panny, drobnych urzędników, którzy się zgrywają w klubach i udają sportsmenów, a w klasach średnich i wyższych zbyt wielu ludzi, którzy zapominają, że mogliby lepszy użytek zrobić z tego, co posiadają, niż zadawalanie jedynie pożądań swoich dla skonstatowania później, że nigdy nie mają dosyć. Potrzeby nasze, zamiast być ujarzmione, stały się niesforną, burzliwą tłuszczą, legionem tyranów dręczących. Można porównać człowieka, niewolnika swych potrzeb, do niedźwiedzia prowadzonego na łańcuchu, któremu tańczyć każą. Porównanie niepochlebne, lecz przyznajcie, że prawdziwe. Potrzeby i wymagania właśnie prowadzą i ciągną tylu ludzi, którzy się szamoczą, krzyczą i dużo mówią o wolności, postępie, nie wiadomo o czem. Nie umieliby zrobić kroku w życiu bez odwołania się do tych władców swoich. Iluż mężczyzn, ileż kobiet posunęło się stopniowo do nieuczciwości dlatego tylko, że mieli zbyt dużo potrzeb, że nie umieli żyć skromnie.

Pozwólcie przytoczyć dzieje pewnego zacnego człowieka, któregb znałem. Kochał tkliwie żonę i dzieci i żył we Francyi, ze swej pracy, w dobrobycie, nie wystarczającym jednak na zaspokojenie zbytkownych potrzeb małżonki. Zawsze w braku, podczas kiedy przy odrobinie prostoty i oszczędności mógłby żyć dostatnio, zmuszony został do wyjazdu w odległe kraje, gdzie zarabia dużo pieniędzy, zostawiwszy swoich w kraju ojczystym. Nie wiem, co biedaczysko tam myśli i czuje, lecz jego rodzina ma piękny apartament, bogate stroje, wspaniały ekwipaż. W danej chwili zadowolenie zupełne. Wkrótce jednak przyzwyczają się do tego zbytku; pani znajdzie, że umeblowanie zniszczone, ekwipaż ubogi. Jeżeli ten człowiek kocha żonę, jak należy przypuszczać, powędruje na księżyc dla zdobycia pieniędzy. Gdzieindziej rc[illegible]ają się odwrotne; żona i dzieci są poświecone drapieżnym żądzom głowy rodziny, którego życie nieregularne, gra w karty i wiele innych kosztownych szaleństw, pozwala zapomnieć o wszystkich obowiązkach. Wybierając między pożądliwościami a ojcowskiem zadaniem, dał pierwszeństwo pierwszym i powoli pogrążył się w najniecniejszym egoizmie.

To zapomnienie wszelkiej godności, to wzrastające przytępienie szlachetnych uczuć, spostrzegać się daje nietylko w klasach zamożnych. Człowiek z ludu podlega im również. Znam niektóre małżeństwa, gdzie mogłoby panować szczęście; a jednak udziałem matki jest jedynie troska i zgryzota, brak wszystkiego, obuwia dla dzieci, często nawet kawałka chleba. Dlaczego? Dlatego, że zadużo pie-

nędzy potrzeba ojcu. Wspominając tylko wydatki na alkohol, wszyscy wiemy, jak bardzo wzrosły one w ostatnich dwudziestu latach. Sumy, utopione w tych otchłaniach, są bajeczne; przewyższają dwa razy kontrybucyę z 1870 roku. Ileż prawdziwych potrzeb można było zadowolić tem, co rzucono na pastwę potrzebom sztucznym? W miarę jak człowiek więcej potrzebuje dla siebie, mniej może dać innym, nawet tym, z którymi łączą go związki krwi.

Zmniejszenie szczęścia niepodległości, delikatności moralnej, uczuć solidarności, oto rezultat roz panoszenia potrzeb. Możnaby dodać tysiące innych niedogodności i wad, z których wyzucie się nie zachwiałoby zdrowia i majątku publicznego. Społeczeństwa, mające zbyt wygórowane potrzeby, zatapiają się w teraźniejszości, poświęcają jej zdobycze przeszłości, składają w ofierze przyszłość. Niech się co chce dzieje! Ścinanie lasów dla osiągnięcia pieniędzy, zbieranie zielonego zboża, codzienne niszczenie owoców długiej pracy, palenie mebli dla ogrzania mieszkania, obciążenie przyszłości długami dla uprzyjemnienia obecnej chwili, używanie wybiegów i forteli, pomnażanie na przyszłość trudności, chorób, ruiny, zazdrości, zawiści... nie doszlibyśmy do końca z wyliczeniem wszystkich złych następstw tego fatalnego systemu.

Przeciwnie, strzegąc prostoty w potrzebach, unikamy wszystkich tych złych objawów, zastępując je mnóstwem korzyści. Wiadomo dawno, że wstrzemięźliwość i umiarkowanie są najlepszymi stróżami zdrowia. Każdy, kto na nie zwraca uwagę, unika niejednej nędzy gnębiącej istnienie, zdobywa zdrowie, zamiłowanie do pracy, równowagę intelektualną. Czy to idzie o pożywienie, czy o ubranie, mieszkanie, prostota w gustach jest źródłem niepodległości i bezpieczeństwa. W miarę życia skromniejszego, zabezpieczacie lepiej przyszłość, grożą wam mniej niespodzianki, zmienne fantazye losu. Choroba lub bezrobocie nie wyrzucą was na bruk, zmiana, choćby znaczna położenia materyalnego, nie wprowadzi was w kłopoty bez wyjścia. Mając potrzeby skromne, mniej wam trudno zastosować się do niepowodzeń i złych obrotów majątkowych, zostaniecie ludźmi, straciwszy nawet mienie, czy posadę, ponieważ podstawą waszego życia nie będzie wasz stół, wasza piwnica, stajnia, wasze ruchomości, pieniądze. Nie będziecie się zachowywali jak niemowlę, któremu zabrano smoczek lub bawidełko. Silniejsi, lepiej uzbrojeni, dający mniej atutów w ręce przeciwnika, będziecie jednocześnie pożyteczniejsi dla bliźnich. Nie będziecie wywoływali ani zazdrości, ani żądz nizkich, ani oburzenia roztaczaniem zbytku, niegodziwością wydatków, widokiem pasorzytnego istnienia; mniej wymagając dla siebie, zachowacie środki pracowania dla dobra innych.

VII.

PRZYJEMNOŚĆ PROSTA.

Czy uważacie dzisiejsze czasy za przyjemne? Co do mnie, biorąc ogólnie, twierdzę, że są smutne, i lękam się, że moje wrażenie nie jest osobistem. Patrząc na życie ludzi współczesnych, na ich mowę, coraz więcej utwierdzam się w przekonaniu, że nie bawią się dobrze. Usiłują się bawić, ale, niestety, chybiają celu. Od czego to zależy?

Jedni obwiniają politykę lub interesy, drudzy kwestye socyalne albo militaryzm. Zastanawiając się nad szeregiem naszych trosk poważnych, trudna rzeczywiście decyzya w wyborze. Czyż można później myśleć o zabawie! Zbyt dużo pieprzu w naszej zupie, aby można było jeść ją z przyjemnością. Uginamy się pod ciężarem niezliczonych kłopotów, z których każdy oddzielnie wystarczyłby dla popsucia humoru. Od rana do wieczora, wszędzie, na każdym kroku, spotykacie ludzi rozgorączkowanych, zapracowanych, wyczerpanych. Ci psują sobie krew

w zajadłych utarczkach swarliwej polityki, tamtych gnębią niecne postępki, zawiści, spotkane w świecie literatury i sztuki. Współzawodnictwo handlowe mąci niejednym spokój; przeciążone programy szkolne, trudne do zdobycia karyery, zatruwają życie młodzieży; klasa robotnicza podlega następstwom nieustającej walki przemysłowej. Władza jest niemiłą, ponieważ urok traci, nauczanie staje się trudne, ponieważ poszanowanie znika — gdziekolwiek oczy rzucimy, wszędzie niezadowolenie.

Historya przedstawia nam pewne epoki burzliwe, którym brakowało, jak naszej, idylicznego spokoju, a którym jednak ważne zaburzenia nie wzbroniły zaznać szczerej wesołości. Zdaje się nawet, że ważność chwili, niepewność jutra, gwałtowność wstrząśnień społecznych, stają się w danej chwili nowem źródłem żywotności. Nierzadko zdarza się widzieć żołnierzy śpiewających między dwiema bitwami i nie pomylę się bardzo mówiąc, że radość ludzka obchodziła najwspanialsze tryumfy w czasach najcięższych, wśród najtwardszych przeszkód. Lecz wówczas na sen spokojny przed bitwą, na śpiew w męce niepokoju, wpływały czynniki natury podrzędnej, których nam może brakuje. Radość tkwi nie w przedmiotach, ale w nas samych. Wierzę stale, że przyczyny naszej obecnej niemocy, tego zaraźliwego złego humoru, który nas opanowywa, zależą od nas, w równej mierze przynajmniej, jak od okoliczności zewnętrznych.

Aby się bawić całem sercem, należy stać na silnej podstawie, należy wierzyć w życie i czuć je w sobie. Tego nam brakuje. Dużo ludzi, niestety, nawet z pośród młodzieży, nie godzi się z życiem, a nie mówię o samych filozofach. Czyż można bawić się dobrze winem, kiedy prześladuje nas myśl—zmora, że byłoby może lepiej, aby nic nigdy nie było istniało? Spostrzegamy nadto w dzisiejszych

siłach życiowych niepokojący upadek, który należy przypisywać nadużywaniu przez człowieka wrażeń. Nadużycia wszelkiego rodzaju przytępiły zmysły, zmniejszyły zdolność odczuwania szczęścia. Natura upada pod ciężarem narzuconych jej ekscentryczności. Podkopana w swym zarodku, wbrew wszystkiemu zawsze istniejąca, wola życia usiłuje zadowolić się sposobami sztucznemi. W dziedzinie medycznej uciekamy się do oddychania sztucznego, do pożywienia sztucznego, do galwanizacyi. Podobnież dokoła przyjemności dogorywającej spostrzegamy mnóstwo istot, gotowych do rozbudzenia jej i ożywienia.

Najróżnorodniejsze środki były użyte, nie żałowano trudów, stosowano wszystko, co możliwe i co niemożliwe. Lecz we wszystkich tych skomplikowanych alembikach nie przedystylowano nigdy kropli uciechy prawdziwej. Nie należy identyfikować przyjemności z narzędziami przyjemności. Nie wystarczy pędzel, aby być malarzem, ani kosztowne skrzypce Stradivariusa, aby zostać muzykiem. Chociażbyście zgromadzili dla zabawy cały zaciąg najdoskonalszych, najprzemyślniejszych rozrywek, to wam nie wystarczy. Lecz tak, jak kawałkiem węgla wielki mistrz może skreślić szkic nieśmiertelny, jak potrzeba geniuszu lub choćby talentu, aby zostać malarzem lub skrzypkiem, tak również do zabawy należy mieć zdolność odczuwania przyjemności. Kto ją posiada, może się bawić tanim kosztem. Takiej zdolności nie jest w stanie zniszczyć w człowieku ani sceptycyzm, ani życie sztuczne lub nadużycie; podtrzymuje ją ufność, umiarkowanie, normalne zwyczaje działania i myślenia.

Doskonały i łatwy do sprawdzenia dowód tego, co twierdzę, znajdujemy w fakcie, że wszędzie, gdzie spotykamy życie proste i zdrowe, towarzyszy mu zawsze przyjemność istotna, jak woń towarzyszy

kwiatom naturalnym. Choćby to życie było trudne, ciężkie, pozbawione wszystkiego, co uważamy zazwyczaj za zwykłe warunki przyjemności, widzimy w niem rozkwitającą delikatną i rzadką roślinę: wesołość. Wyrasta ona niekiedy między kamieniami bruku, w zagłębieniach muru, w szczelinach skał. Nasuwa się pytanie, w jaki sposób i zkąd pochodzi? Lecz ona żyje, podczas kiedy w cieplarniach, w bogato użyznianych ziemiach, hodujemy ją na wagę złota, aby się rozwinęła i zgasła w naszych rękach.

Spytajcie aktorów, jakiego rodzaju publiczność najlepiej bawi się na komedyi, a odpowiedzą niezawodnie, że pospólstwo. Łatwo wiedzieć dlaczego. Dla tej publiczności komedya jest wyjątkiem, nie przesycili się nią zupełnie. Zresztą dla niej to odpoczynek po znojnej pracy. Zaznana przyjemność jest uczciwie zarobioną i ta publiczność zna jej cenę, jak zna wartość centymów, w pocie czoła zdobytych. Nadto, nie zaznajamiała się z kulisami, nie wnikała w intrygi artystów, nie przypuszcza podstępów i sideł, bierze wszystko za rzeczywistość. Używa też niepodzielnej, szczerej przyjemności. Widzę zblazowanego sceptyka z błyszczącym monoklem, w głębi loży, rzucającego na tłum rozbawiony pogardliwe wejrzenie:

„Biedni ludzie, idyoci, nieokrzesani i głupi!“ A przecież to oni żyją prawdziwie, podczas kiedy on jest istotą sztuczną, manekinem, niezdolnym do odczuwania pięknego i zbawiennego upojenia, jednej godziny szczerej przyjemności.

Niestety, naiwność znika, nawet w sferach niższych. Widzimy mieszczan, a za nimi chłopów, zarzucających dobre tradycye. Umysł spaczony alkoholem, namiętność gry, niedrowa lektura, wyrabiają stopniowo niezdrowe gusta. Sztuczne życie przenika środowiska niegdyś proste i skromne i przynosi szkodę, jak phylloxera winnicy. W silnem drzewie

wesołości sielskiej stopniowo schnie korzeń, liście żółknąć zaczynają. Porównajcie święto wieśniacze w starym stylu z dzisiejszemi uroczystościami zmodernizowanemi. Z jednej strony, w uszanowanych ramach starodawnych zwyczajów, rośli wieśniacy śpiewają pieśni krajowe, tańczą tańce krajowe w strojach ludowych, gaszą pragnienie naturalnemi napojami, całą duszą się bawią. Naśladują kowala jak kuje, kury jak skaczą na łące, i bawią się, aż serce rośnie na ich widok i mimowoli wołamy: „Brawo, dzieci, bawcie się!“ Aż zazdrość bierze, że do nich należeć nie możemy. Z drugiej strony chłopi przebrani za mieszczan, wieśniaczki zeszpecone przez modę, jako ozdoba uroczystości zbieranina wymoczków miejskich, śpiewających piosenki z *café chantant*; niekiedy wędrowny aktor przybywa na uroczystość, aby okrzesać tych prostaków i dać im zakosztować swych wyrafinowanych przyjemności. Za napoje służy absynt, likiery i wódki. Ani źdbło oryginalności i malowniczości. Widać zaniedbanie i pospolitość, obok braku wylania będącego cechą przyjemności naiwnej.

Kwestya przyjemności jest kwestyą pierwszorzędnej wagi. Ludzie stateczni lekceważą ją jako rzecz błahą; zwolennicy utylitaryzmu jako superfetacyę zbytkowną; tak zwani światowcy gospodarują w tej delikatnej dziedzinie, jak dziki w ogrodzie. Nikt zdaje się nie oceniać należycie znaczenia wesołości dla człowieka. Wesołość to ogień święty, który należy podsycać, który promiennym blaskiem oświetla życie. Ci, którzy strzegą, aby nie zgasł, równie pożytecznie służą ludzkości, jak ci, którzy budują mosty, przebijają tunele, uprawiają ziemię. Utrzymywać w sobie, wśród trudów i trosk życio-

wych, zdolność odczuwania wesołości i rozszerzania jej—dzięki zaraźliwości zbawiennej, pomiędzy bliźnimi swoimi — jest dziełem solidarności w najszlachetniejszem tego słowa znaczeniu. Dać nieco przyjemności, rozchmurzyć stroskane czoło, rzucić trochę światła na ciemne drogi życia, jakież to boskie powołanie dla nieszczęśliwej ludzkości! Aby go dopełnić, potrzeba wielkiej prostoty serca.

My za mało mamy prostoty, aby być szczęśliwymi i dać innym szczęście. Brakuje nam dobroci i oderwania od siebie. Udzielamy radości, jak udzielamy pociechy, przy pomocy sposobów, które prowadzą do rezultatów negatywnych. W jakiż sposób pocieszamy nieszczęśliwych? Zaprzeczamy ich cierpieniu, staramy się im wytłómaczyć, że się mylą, że się egzaltują, przesadzają nieszczęście. W głębi rzeczy słowa nasze znaczą: „Cierpisz, przyjacielu. To dziwne; musisz się mylić, bo ja tego nie odczuwam“. Wobec tego, że jedyną ulgą w cierpieniu jest podzielanie go całem sercem, cóż może odczuwać nieszczęśliwy człowiek pocieszany w ten sposób?

Zachowujemy się podobnie, chcąc rozerwać bliźniego i dać mu chwilę przyjemną: każemy mu podziwiać nasz umysł, śmiać się z naszych dowcipów, bywać w naszym domu, zasiadać przy naszym stole, a wszędzie widnieje nasze usiłowanie błyszczenia. Niekiedy z protekcyjną hojnością dajemy mu jałmużnę wybranej przez nas rozrywki. Zapraszamy go do bawienia się z nami, jakbyśmy zapraszali go do partyi gry karcianej, z chęcią wyzyskania go na naszą korzyść. Czyż sądzicie, że najwyższą przyjemnością dla drugich jest podziwianie nas, uznawanie naszej wyższości, służenie nam za narzędzie? Czyż może być coś przykrzejszego, jak widzieć się wyzyskiwanym, protegowanym, poniewieranym? Ażeby sprawić innym i sobie przyjemność, należy przedewszystkiem usunąć swoje *ja*, które jest nieznośnem,

i trzymać je w karbach podczas całego trwania danych rozrywek. Starajmy się być uprzejmymi, uczynnymi, schowajmy nasze medale, ordery, tytuły, oddajmy się całem sercem na usługi innych.

Żyjmy czasem, chociażby przez godzinę, z pominięciem wszystkiego innego, z myślą zabawienia drugich. Poświęcenie tylko pozorne: nikt nie jest w stanie lepiej się bawić od tych, którzy umieją oddać się z prostotą dla dostarczenia otoczeniu nieco szczęścia i zapomnienia.

Kiedyż nareszcie zdobędziemy tyle prostoty, aby na naszych zebraniach nie stawiać na pierwszym planie wszystkiego tego, co nam nerwy drażni w życiu codziennem? Czyż nie zdołamy nigdy zapomnieć choćby na godzinę naszych pretensyi, zawiści, przedziałów, naszych osobistości wreszcie, aby pozostać dziećmi i śmiać się jeszcze tym szczerym śmiechem, który tyle dobrego robi i czyni ludzi lepszymi?

Czuję się tutaj zmuszonym do zrobienia uwagi całkiem odrębnego rodzaju, do zaofiarowania tym sposobem dobrze usposobionym czytelnikom sposobności dopełnienia wspaniałego czynu. Celem moim jest polecenie ich uwadze kilku kategoryi osób, dosyć zaniedbanych z punktu widzenia przyjemności.

Ludzie myślą, że miotła może służyć tylko do zamiatania, podlewaczka tylko do podlewania, młynek od kawy tylko do mielenia; podobnież sądzą, że dozorca szpitalny stworzony jest jedynie dla pielęgnowania chorych, profesor do nauczania, kapłan do głoszenia kazania, chowania zmarłych, spowiadania grzesznika i t. d.; sądzą tak i dochodzą do wniosku, że istoty, oddane pracom poważnym, powinny być przykute do swych zatrudnień, jak woły

do jarzma. Rozrywki nie godzą się z tego rodzaju działalnością. Posuwając dalej ten sposób widzenia, ludzie mniemają się upoważnieni do myślenia, że osoby nieszczęśliwe, zrujnowane, upośledzone kalectwem, złamane życiem, słowem wszystkie, które gniotący ich jakiś ciężar dźwigać muszą, skazane są, jak północne stoki gór, na pozostawanie zawsze w cieniu, i że inaczej być nie może. Ztąd wniosek, dość ogólnie przyjęty, że ludzie stateczni nie potrzebują żadnej przyjemności, że wprost nie wypada im jej podawać. Co do zasmuconych, przerywanie biegu smutnych ich myśli możnaby uważać za brak delikatności. Z tego wynika, że niektóre osoby skazane są na wieczną surowość i powagę, że można do nich przystępować tylko z miną poważną i surową, mówić z niemi tylko o rzeczach poważnych i surowych. Również należy pozostawiać uśmiech za drzwiami, odwiedzając chorych i nieszczęśliwych, przybierać wyraz ponury i smutny, wybierać przedmioty rozmowy bolesne. Niesiemy więc smutek i mrok pozostającym w smutku i mroku, cień przebywającym w cieniu. Powiększamy odosobnienie odosobnionych monotonią istnień ponurych. Zamieniamy niektóre życia na więzienia dlatego, że porosły trawy prowadzące do nich ścieżki, mówimy szeptem zbliżając się do nich, jakbyśmy zbliżali się do grobów. Ileż piekielnego okrucieństwa codziennie popełnianego w świecie! Tak być nie powinno.

Kiedy spotkacie mężczyzn lub kobiety, oddane surowym i bolesnym obowiązkom, polegającym na odwiedzaniu nędzy ludzkiej, bandażowaniu i gojeniu ran, pamiętajcie, że te istoty są jak wy, stworzone, że mają te same potrzeby, że również łakną przyjemności i zapomnienia. Nie uchybicie ich powołaniu, rozśmieszając ich kiedy niekiedy, ich,

patrzących wiecznie na łzy i cierpienia. Przeciwnie, dodacie im sił do dalszej pracy.

Kiedy poznacie rodziny nieszczęśliwe i jednostki smutne, nie otaczajcie ich, jak zapowietrzonych, sanitarnym kordonem, którego nie przekroczycie bez zachowania środków ostrożności, przypominających smutną ich dolę. Przeciwnie, okazawszy im całą sympatyę, całe poszanowanie dla ich bólu, pocieszcie ich, dopomóżcie im żyć, przynieście im pewne tchnienie zewnętrzne, cośkolwiek, coby im przypomniało, że ich nieszczęście nie wyłącza ich z liczby żyjących.

Rozciągnijcie waszą sympatyę do tych wszystkich, którzy są przeciążeni pracą i, że tak powiemy, przykuci do miejsca. Świat przepełniony jest istotami nie mającemi nigdy odpoczynku ani przyjemności, dla których najmniejsza swoboda, najskromniejsze wytchnienie, są dobrem bezmiernem. A to minimum ulgi byłoby tak łatwem do dostarczenia gdyby ktokolwiek o tem pomyślał. Lecz oto: miotła stworzona do zamiatania nie powinna odczuwać zmęczenia.) Powinniśmy pozbyć się tego występnego zaślepienia, nie dozwalającego nam widzieć zmordowania tych, którzy muszą zawsze iść na pierwszy ogień. Dajmy Syzyfowi chwilę odpoczynku, zajmijmy miejsce matki rodziny, z której trudy gospodarskie i obowiązki macierzyńskie czynią niewolnicę, poświęćmy trochę naszego snu tym, których zjadają długie godziny czuwania przy chorych. Panienki młode, znudzone często spacerami bez celu, weźcie fartuszek kucharki i dajcie jej trochę swobody. Obdarzycie szczęściem i same uczujecie się szczęśliwemi. Kroczymy wciąż obok istot, uginających się pod ciężarem, który moglibyśmy wziąć na swe barki, chociażby na chwilę. A ta chwila wystarczyłaby, aby uleczyć niejedne rany, rozniecić wygasłą radość w niejednych sercach,

otworzyć szerokie pole dobrej woli ludzkiej. O ileżby łatwiejsze było wzajemne zrozumienie, gdyby umiano całem sercem postawić się na miejscu drugich, o ileżby więcej było wówczas przyjemności w istnieniu!

Zbyt wiele mówiłem gdzieindziej o organizacyi zabawy pomiędzy młodzieżą, abym znów powracał tutaj do tego tematu [1]). Muszę jednak w krótkich słowach powtórzyć to, co zawsze przypominać sobie powinniście: jeżeli chcecie, aby młodzież była moralną, nie zaniedbujcie jej rozrywek, nie zostawiajcie na los szczęścia pieczy w ich dostarczaniu. Odpowiecie może, że młodzież nie lubi, aby układano jej rozrywki, że zresztą popsuta jest dzisiaj i nie bawi się łatwo. Odpowiem najpierw, że można podsuwać myśli, wskazywać kierunki, stwarzać okazye do rozrywki, nie układając żadnego regulaminu. Powtóre, dowiodę wam, że mylicie się, wyobrażając sobie, że młodzież zanadto się bawi. Pomijając przyjemności sztuczne, denerwujące, demoralizujące, które brudzą i każą życie, zamiast je rozwijać i rozpromieniać — niewiele innych pozostaje młodzieży. Nadużycie, to wrogie przeciwieństwo słusznego i sprawiedliwego używania, tak przejęło i przeniknęło ziemię, że trudno dotknąć czegokolwiek, czegoby nie skaziło. Ztąd ostrożności, zakazy, ochronne środki niezliczone. Trudno się poruszyć, chcąc ominąć wszystko, co zbliżone jest do przyjemności niezdrowych. Wśród młodzieży dzisiejszej, szczególniej wśród młodzieży, która się szanuje, brak przyjemności wywołuje cierpienia głębokie. Przedłużanie takiego sta-

---

[1]) Zob. *Jeunesse*, rozdział: *La joie*.

nu rzeczy byłoby powiększeniem cienia, rzuconego na głowy naszych młodych pokoleń. Musimy spieszyć z pomocą. Nasze dzieci są spadkobiercami świata nieźbyt wesołego. Dajemy im w spuściznie ciężkie troski, zawiłe kwestye, życie pełne pęt, oków i zawikłań. Zróbmy przynajmniej wysiłek, aby rozjaśnić jutrzenkę ich życia. Organizujmy rozrywki, stwarzajmy im pola i miejsca odpowiednie, otwierajmy nasze serca i nasze mieszkania. Wciągnijmy rodziny. Niechaj wesołość przestanie być towarem zbytu. Zgromadzajmy naszych synów, wypędzonych na ulicę z mieszkań ponurych, nasze córki, znudzone samotnością. Pomnóżmy uroczystości rodzinne, przyjęcia i wycieczki w gronie rodziny; podnieśmy dobry humor do poziomu wychowania. Pociągnijmy szkoły. Niechaj nauczyciele i uczniowie spotykają się często i bawią razem. To jest bodźcem dla pracy poważnej. Uczeń łatwiej zrozumie profesora, kiedy się będzie śmiał w jego towarzystwie, i naodwrót, ażeby dobrze poznać ucznia lub studenta, trzeba go widywać po za ławkami szkolnemi i egzaminowym stołem.

A kto da pieniędzy? — Oto pytanie! Tutaj tkwi błąd kardynalny. Przyjemność i pieniądze zwykle są brane za dwa skrzydła jednego ptaka. Niestety, grube złudzenie! Przyjemność, jak każda rzecz prawdziwie cenna na świecie, nie może być ani kupioną, ani sprzedaną. Aby się bawić dobrze, trzeba dać swoją osobę, oto rzecz zasadnicza. Nikt ci nie zabroni otworzyć sakiewki, jeżeli możesz, i jeżeli uznasz za właściwe. Lecz zapewniam, że to nie jest nieodzowne. Przyjemność z prostotą idą w parze oddawna. Przyjmujcie skromnie; zbierajcie się skromnie; pracujcie przedewszystkiem; bądźcie o ile możności uprzejmymi, grzecznymi w towarzystwie waszem, nie obmawiajcie nieobecnych—a cel osiągniecie.

VIII

DUCH PRZEDAJNOŚCI.

Dotknęliśmy mimochodem bardzo rozpowszechnionego przesądu, przypisującego pieniądzom czarodziejską potęgę. Zbliżeni do tak palącego terenu, nie unikniemy go; przeciwnie, postawimy na nim stopę, w przekonaniu, że w tej materyi kilka prawd wypowiedzieć można. Nie są one bynajmniej nowe, lecz, niestety, tak bardzo zapomniane!

Nie widzę sposobu obchodzenia się bez pieniędzy. Wszyscy teoretycy prawodawcy, uważający pieniądz za przyczynę wszelkiego zła, zdołali jedynie dotąd zmienić jego imię lub formę. Nie zdołali jednak obejść się bez znaku, przedstawiającego wartość kupiecką rzeczy. Pragnienie usunięcia pieniędzy jest usiłowaniem analogicznem z usiłowaniem usunięcia pisma. Niemniej kwestya pieniędzy jest niepokojącą i stanowi jeden z głównych pierwiastków naszego życia skomplikowanego. Trudności ekonomiczne, w których się szamoczemy, stosunki

społeczne, cały układ nowoczesnego życia, podniosły pieniądz do tak wysokiego rzędu, że trudno się dziwić wyobraźni ludzkiej, przypisującej mu pewnego rodzaju królewską władzę. Z tej więc strony przystąpimy do zagadnienia.

Wyraz towar odpowiada wyrazowi pieniądz. Pieniądz nie mógłby istnieć, gdyby nie było towarów. O ile towar istnieje, pieniądz być musi, mniejsza pod jaką formą. Źródło wszystkich nadużyć, których pieniądz jest jądrem, spoczywa w pewnem pomieszaniu pojęć. Połączono w określeniu i pojęciu towaru przedmioty nie mające między sobą łączności. Nadano wartość pieniężną rzeczom, które nie mają i nie powinny mieć żadnej. Pojęcia kupna i sprzedaży ogarnęły dziedziny, gdzie słusznie mogą być uważane za obce, za wrogie, za nadużywające praw nadanych. Słusznie bardzo zboże, kartofle, wino, materyały różne, są przedmiotami handlu. Słusznie praca człowieka daje mu prawa do życia i otrzymuje on do swojej ręki, wzamian za tę pracę, pieniądz, przedstawiający te prawa. Lecz już tutaj analogia przestaje być zupełną. Praca człowieka nie jest towarem takim, jak korzec zboża, lub centnar węgla. Do pracy wchodzą pierwiastki nie dające się ocenić monetą. Są wreszcie rzeczy nie do nabycia, np. sen, znajomość przyszłości, talent. Ci, którzy nam je sprzedać pragną, mogą być uważani za waryatów lub oszustów. A jednak istnieją ludzie handlujący niemi. Sprzedają to, co do nich nie należy; wyprowadzeni przez nich w pole, płacą prawdziwą monetą za rzeczy bez żadnej ceny. Podobnież istnieją handlarze miłości, handlarze cudów, handlarze patryotyzmu, tak, że tytuł handlującego, szanowany o ile dotyczy do człowieka sprzedającego to, co istotnie jest towarem kupieckim, staje się hańbą i sromotą, kiedy idzie o rzeczy serca, religii, ojczyzny.

Wszyscy się zgodzą, że ohydnem jest frymarczenie uczuciami, honorem, zowodem, piórem, mandatem. Niestety to, co nie znosi żadnej opozycyi w teoryi, co, powiedziane jak my obecnie mówimy, wydaje się raczej banalnością niż wysoką prawdą moralną, z niesłychanym trudem daje się zastosować w praktyce. Świat cały frymarczy. Handlarze wtargnęli aż do sanktuaryów, a przez sanktuarya rozumiem nietylko rzeczy religijne, lecz wszystko, co dla ludzkości jest świętem i nietykalnem. Nie pieniądze komplikują, psują i upadlają życie, ale nasz duch przedajności.

Duch przedajności sprowadza wszystko do jednego pytania: Ile to mi przyniesie? Streszcza wszystko w jednym aksyomacie: Za pieniądze wszystko dostać można. Z temi dwiema zasadami postępowania społeczeństwo zejść może do stopnia niesławy, nie dającej się ani odmalować, ani wyobrazić.

Ile to mi przyniesie? To pytanie, tak słuszne, o ile idzie o środki, jakie każdy zachować powinien dla zabezpieczenia egzystencyi pracą, staje się zgubnem, kiedy przekracza swoje granice i wyłącznie kieruje życiem. Upadla nawet pracę, będącą podstawą bytu. Dostarczam pracy wynagradzanej bardzo dobrze; lecz jeżeli moją myślą przewodnią, podczas tej pracy, będzie jedynie pragnienie osiągnięcia pieniędzy—nie może być nic gorszego. Człowiek, dla którego zarobek jest jedynym bodźcem, źle pracuje. Nie praca go zajmuje, lecz pieniądze. Jeżeli może zmniejszyć swoją pracę bez zmniejszenia zarobku, bądź przekonanym, że to uczyni. Cieśla, rolnik, robotnik fabryczny, jeżeli nie umiłował swej pracy, jeżeli nie wkłada w nią ani zainteresowania, ani godności, wogóle jest złym pracownikiem. Doktorowi, przejętemu tylko honoraryami, nie powierzaj nigdy swojego życia, ponieważ

jedynym jego celem jest pragnienie napełnienia swojej sakiewki zawartością twojej. Jeżeli interesem jego będzie, abyś cierpiał dłużej, to zamiast wzmacniać twoje zdrowie, podtrzymywać zacznie chorobę. Ten, który w nauce dziecka widzi tylko korzyść nauki, jest smutnym profesorem, ponieważ ta korzyść jest mierną, a nauczanie jeszcze mierniejsze. Co wart dziennikarz sprzedajny? W dniu, w którym zaczniesz pisać dla pieniędzy, praca twoja przestanie być wartą cośkolwiek. Im więcej praca ludzka obejmuje przedmioty natury podniosłej, tem więcej duch przedajności, jeżeli się zjawi, wyjaławia ją i psuje. Świętą prawdę mówią ci, którzy utrzymują, że wszelkie trudy zasługują na wynagrodzenie, że każden człowiek, który poświęca swoje usiłowania dla utrzymania życia, powinien być odznaczonym— a kto nie robi nic pożytecznego, nie zarabia na życie, jest darmozjadem. Najpoważniejszym błędem społecznym jest uważanie zarobku za jedyny motor działania. To, co mamy najlepszego, kładziemy w naszą pracę — czy ta praca będzie dziełem rąk, czy gorącości serca, czy natężenia inteligencyi -- nie może być nigdy przez nikogo wynagrodzone. Oto fakt stwierdzający, że człowiek nie jest maszyną: dwóch ludzi przy jednej pracy, z jednakiemi siłami, jednakiemi ruchami, jednakiem uzdolnieniem fachowem, dają odmienne rezultaty. Jaka przyczyna zjawiska? Różnorodność intencyi. Jeden ma ducha przedajnego, drugi duszę prostą. Obaj płacę dostaną, lecz jednego robota jest jałową, drugi swą duszę w nią włożył. Praca pierwszego przypomina ziarnko piasku, które przez całą wieczność nic nie wyda, praca drugiego podobna do płodnego zarodku, który, umieszczony w ziemi, kiełkuje i bujne daje owoce. Oto tajemnica niepowodzenia wielu ludzi, posługujących się takiemi samemi środkami zewnętrznemi, jak inni, którym wiodło się zawsze. Machiny automatyczne nie odradzają się, praca przedajna nie wyda owocu.

Zapewne, zmuszeni jesteśmy schylić głowy przed faktem ekonomicznym, uznać wielkie trudności życia: z każdym dniem wzrasta potrzeba właściwego obmyślenia sposobów postępowania, aby wyżywić, ubrać, dać mieszkanie i wychowanie rodzinie. Kto nie zdaje sobie sprawy z tych konieczności wszechwładnych, kto nie oblicza i nie przewiduje, staje się wcześniej lub później narażonym na wyciągnięcie ręki do tych, których skąpstwo lekceważy. A jednak cóżby z nami się stało, gdyby tego rodzaju troska absorbowała nas całkowicie? gdybyśmy obliczając wszystko ściśle, chcieli mierzyć nasze usiłowania pieniędzmi, jakie za nie osiągniemy, i nic nie robić, co nie daje zysku, i uważać za rzeczy zbyteczne i trudy stracone wszystko, co nie da się wyrazić cyframi w księdze rachunkowej?

Czy matki nasze spodziewały się zapłaty, kochając nas i wychowując? Cóż nasza miłość dziecięca byłaby warta, gdyśmy żądali nagrody za kochanie i pielęgnowanie starych rodziców?

Cóż przynosi mówienie prawdy? Nieprzyjemności, niekiedy cierpienia i prześladowania. A co obrona kraju? Umęczenie, rany, śmierć często. Co świadczenie przysług? Trudy, niewdzięczność, nieraz urazy. Poświęcenie gra rolę we wszystkich zasadniczych czynach ludzkości. Nie wierzę, aby najprzebieglejszy kalkulator nie odwoływał się kiedykolwiek do czego innego, niż do swoich rachub? Niezaprzeczenie, nazywamy inteligentnymi tych, którzy umieją myśleć o sobie. Przyjrzyjmy się bliżej. Ileż dobytku zawdzięczają oni poświęceniu prostych? Cóż byliby osiągnęli, spotykając tylko takich, jak oni,

których dewizą: Ani grosza nikomu, ani szeląga! Powiedzmy więc: dzięki tym niektórym, bezinteresownym, świat może istnieć. Najpiękniejsze usługi oddane, najtwardsze trudy poniesione, pozostają zwykle bez nagrody. Na szczęście, będą zawsze ludzie gotowi do czynów bezinteresownych, nawet do czynów odpłacanych bólem, kosztujących pieniądze, spokój, nawet życie. Ciężkie zadanie takich ludzi, nie mogących się obejść bez zniechęcenia. Ileż słyszeliśmy przytaczanych doświadczeń bolesnych, w których opowiadający żałował swych uprzejmości wyświadczanych, cierpienia zaznanego, za które w nagrodę odbierał gorycze i niesmaki. Na zakończenie zwykle słyszymy: byłem na tyle głupi, że zrobiłem to lub owo. Niejednokrotnie słuszne zdanie, ponieważ zawsze szkoda pereł rzucanych w śmiecie; lecz w życiu wielu ludzi jedynie pięknemi czynami są te właśnie, które żal budzą wskutek niewdzięczności ludzkiej! Należy życzyć ludzkości, aby liczba tych niemądrych czynów wzrastała ciągle!

Teraz mamy przed sobą *credo* ducha przedajnego. Treściwość jest jego zaletą. Dla człowieka przedajnego prawo, zasady, mieszczą się w tym jednym aksyomacie: Za pieniądze wszystko. Takby się zdawało, patrząc powierzchownie na życie społeczne. Pieniądz nerwem życia, kluczem do wszystkiego, władcą wszechświata!... Możnaby, zbierając wszystko, co powiedziano o chwale i potędze pieniędzy, ułożyć litanię dłuższą od litanii śpiewanej na cześć Dziewicy-Maryi. Trzeba było być bez pieniędzy, chociażby dzień lub dwa, i próbować żyć w świecie, w którym żyjemy, aby nabrać pojęcia, czego brakuje człowiekowi, którego kieszeń próżna. Chciałbym, aby osoby, lubiące kontrasty i niespodziewane sytuacye,

spróbowały żyć bez pieniędzy przez pół tygodnia tylko, zdala od przyjaciół i znajomych, od całego środowiska, w którem miały pewne znaczenie. Nabrałyby więcej doświadczenia w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, niż człowiek opływający we wszystko w ciągu roku. Niestety, niektórzy nabierają tego doświadczenia z konieczności: kiedy prawdziwa ruina spadnie na nich, towarzysze młodości, przyjaciele mniemani, których może dobroczyńcami byli, udają, że ich nie poznają. Z goryczą przypominają sobie to *credo* ludzi przedajnych: za pieniądze wszystko, bez pieniędzy nic. Bez pieniędzy stajesz się paryasem, zapowietrzonym, od którego odwracają się wszyscy. Jak mucha do trupa, tak człowiek lgnie do pieniędzy. Gdzie pieniędzy niema, próżnia wokoło. Ileż to *credo* łez wycisnęło, łez gorzkich, łez krwawych, wylanych przez tych może, którzy sami niegdyś byli hołdownikami złotego cielca.

A jednak to *credo* jest fałszywem, bardzo fałszywem. Nie wystąpię do boju z niem z tak starą zużytą bronią, jak opowieść o bogaczu, zabłąkanym w pustyni, który kropli wody za swoje pieniądze dostać nie może, albo o milionerze zgrzybiałym, który oddałby połowę swych skarbów, aby odkupić od silnego nędzarza jego lat dwadzieścia i zdrowie czerstwe. Nie będę wam dowodził, że szczęście kupić trudno. Bardzo dużo osób zarówno bogatych, jak ubogich, z uśmiechem przyjmuje tę prawdę, tak bardzo starą i zużytą. Odwołam się do wspomnień, do doświadczeń każdego, aby namacalnie przedstawić kłamstwo, pokrywające aksyomat, powtarzany przez wszystkich.

Napełnij dobrze swoją kieszeń i jedźmy razem do której z licznych bardzo stacyi klimatycznych. Chcę mówić o jednej z tych miejscowości niegdyś nieznanych, zamieszkałych przez ludzi prostych, uprzejmych, pełnych uszanowania, z którymi można

było żyć dobrze i tanim kosztem. Stugębna sława wydobyła je z cienia, nauczyła ciągnąć korzyści z położenia, klimatu, ludności. Jedziesz, ufając tej sławie, i pochlebiasz sobie, że za pieniądze swoje zdobędziesz spokojne ustronie, że zdala od świata sztucznego i cywilizowanego będziesz mógł wysnuć nieco poezyi z pasma dni twoich. Pierwsze wrażenie dobre: naturalne tło i niektóre patryarchalne zwyczaje, znikające z trudem, uderzają na razie przyjemnie twoje oczy. W miarę upływających dni wrażenie się psuje, widzisz odwrotną stronę medalu. To, co uważałeś za stare rzeczy, autentyczne, przypominające odwieczne antyki rodzinne, było tylko przynętą dla mistyfikowania naiwnych. Szyldy i etykiety wszędzie, wszystko do sprzedania, od ziemi aż do mieszkańców. Ci ludzie, niegdyś prości, stali się przebieglejszymi od przebiegłych aferzystów. Postanowili złowić twoje pieniądze z możliwie najmniejszym wysiłkiem, rozciągnęli sieci i sidła jak pajęcze tkaniny, a tą muchą, którą do środka wciągnąć pragną, ty jesteś! Oto co w ciągu lat około dwudziestu duch przedajności zrobił z ludzi niegdyś uczciwych i prostych, z którymi zetknięcie było zbawiennem dla mieszkańców stolic. Chleb gospodarski zniknął, znają wyśmienicie sposoby odtłuszczania mleka, fabrykują masło, fałszują wina; mają wszystkie wady mieszkańców miast, nie posiadając części ich zalet.

Odjeżdżając, rachujesz pieniądze. Brakuje dużo, narzekasz. Niesłusznie. Trudno nabyć zbyt drogo przekonania, że istnieją rzeczy, których za pieniądze mieć nie można.

Potrzebujesz urzędnika zdolnego i zręcznego; spróbuj złapać tego rzadkiego ptaka. Stosownie do zasady, że można wszystko mieć za pieniądze, mógłbyś, ofiarując wynagrodzenie średnie, zwykłe, dobre, bardzo dobre, doskonale... znaleźć urzędników średnich, zwykłych, bardzo dobrych, wyższych. Wszyscy jednak, którzy ofiarują swoje usługi, zaliczą się do ostatniej kategoryi i prawdopodobnie zaopatrzą się w świadectwa, uzasadniające ich pretensye. Prawda, że dziewięć razy na dziesięć w praktyce okaże się, że ci ludzie nie mają pojęcia o przyjętych obowiązkach. Dlaczegoż więc zgłosili się do ciebie? Powinniby odpowiedzieć, jak kucharka w komedyi, która, drogo płatna, a zupełnie niezdolna, na pytanie: „Jak mogłaś podać się za zawołaną kucharkę?“ odpowiada: „Potrzebowałam pieniędzy“. Oto jądro rzeczy. Znajdziesz zawsze ludzi, którzy lubią duże wynagrodzenia, rzadziej napotkasz zdolności. Jeżeli o uczciwość ci idzie, jeszcze będzie trudniej. Najemników płatnych znajdziesz z łatwością, przywiązanie jest rzadkim kwiatem. Nie zaprzeczam istnienia wiernych służących, urzędników uczciwych i inteligentnych jednocześnie. Częściej jednak i w większej liczbie spotkasz ich między mniej płatnymi, i bądź przekonanym, że przywiązanie ich jest bezinteresowne, że zachowali w sercu dużo prostoty, czyniącej ich zdolnymi do zaparcia się siebie.

Słyszymy często, że pieniądz jest duszą wojny. Zapewne wojna kosztuje dużo, wiemy o tem dobrze. Lecz czyż dla obrony od nieprzyjaciół i wysokiego trzymania sztandaru, może wystarczyć, aby kraj był bogatym? Grecy niegdyś dali dowód Persom, że jest inaczej, i ten dowód nie przestanie być nigdy powtarzanym w historyi. Przy pomocy złota można nabyć okręty, armaty, konie, lecz któż byłby w stanie kupić geniusz wojenny, zmysł polityczny, karność i zapał? Dajcie miliardy w ręce waszych rekrutów i każcie im przedstawić wielkiego wodza lub armię sankiulotów. Znajdziecie stu kapitanów w miejsce jednego i tysiące żołnierzy, lecz

poślijcie ich w ogień: zobaczycie, czy męztwo za pieniądze mieć można.

Możnaby sobie przynajmniej wyobrazić, że przy pomocy pieniędzy jesteśmy w możności nieść ulgę nędzy i czynić dobrze. Niestety, to złudzenie, z którego leczyć się należy. Pieniądze, w małych czy dużych sumach wydzielane, są ziarnem dającem życie nadużyciom. Powołując nawet do współudziału inteligencyę, dobroć, wielkie doświadczenie ludzkie, więcej wyświadczycie zła niż dobrego, narażając przytem na popsucie tych, którzy wasze dobrodziejstwa przyjmują, jak również tych, którym powierzacie pomoc w szerzeniu tych dobrodziejstw.

Pieniądze nie stanowią wszystkiego; są potęgą, ale nie wszechpotęgą. Nic bardziej nie komplikuje życia, nie demoralizuje człowieka, nie paczy normalnego funkcyonowania społeczeństwa, jak nadmierny rozwój ducha przedajności. Panowanie tego ducha jest wzajemnem oszukiwaniem się wszystkich. Nie można ufać nikomu i niczemu, nie można otrzymać nic prawdziwie wartościowego. Kiedy więc pieniądz, który służyć powinien, staje się siłą tyranizującą, nie umiejącą uszanować życia moralnego, godności, wolności; kiedy jedni usiłują zdobyć go za wszelką cenę, handlując tem, co nie powinno być nigdy przedmiotem targu; kiedy drudzy, bogacze, wyobrażają sobie, że mogą otrzymać od innych to, czego nikomu niewolno sprzedawać, ani kupować — wówczas, należy nam powstać przeciwko tak występnemu i potwornemu przesądowi, należy nam zawołać: niechaj twoje pieniądze wraz z tobą giną! To, co człowiek ma najcenniejszego, otrzymał darmo, niechaj także umie rozdzielać darmo.

IX.

REKLAMA I ZAPOZNANE DOBRO.

Jedną z główniejszych śmieszności współczesnych jest zamiłowanie reklamy. Wypłynąć na wierzch, dać się poznać, wyjść z ukrycia: niektórych do tego stopnia pożera to pragnienie, że można słusznie ich nazwać dotkniętymi obłędem rozgłosu. W ich oczach brak rozgłosu jest niesławą, to też robią wszystko, co mogą, aby być głośnymi. Uważają się w swem życiu nieznanem za istoty zatracone, za rozbitków, wyrzuconych przez burzę na skałę pustą; uciekają się do wrzawy, do wystrzałów, do ogni, do wszystkich możliwych znaków, aby powiadomić, gdzie się znajdują. Niezadowoleni z petard i niewinnych racy, posuwają się niektórzy do podłości i zbrodni, aby dać się tylko poznać światu. Podpalacz Herostrates licznych naśladowców zostawił. Iluż ludzi zdobyło sławę dlatego, że zburzyli coś wybitnego, że zniweczyli lub usiłowali zniweczyć opinię słynną, że zaznaczyli przejście

skandalem, potwornością lub barbarzyństwem głośnem.

Ta żądza rozgłosu rozpowszechniona jest nietylko wśród wartogłowów, w świecie finansistów podejrzanych, szarlatanów, oszustów, wszelkiego rodzaju i rzędu aktorów, lecz również we wszystkich dziedzinach życia duchowego i materyalnego. Polityka, literatura, wiedza nawet i, rzecz dziwniejsza i gorsza, miłosierdzie i religia, zostały skalane reklamami. Otaczają rozgłosem dobre uczynki, dla nawracania dusz obmyślają huczne i głośne obrzędy. Gorączka sławy ogarnia schronienia zazwyczaj ciche, mąci umysły wogóle stateczne, paczy i upadla dążenie do dobra. Usiłowanie błyszczenia, a raczej chełpienia się wszystkiem, wzrastająca niezdolność oceniania tego, co jest ukrytem, przyzwyczajenie oceniania rzeczy zdobytą przez nich sławą, zachwiało najpoważniejsze sądy, tak, że nasuwa się pytanie, czy społeczeństwo nie zamieni się w końcu na targowisko olbrzymie, na którem każdy bije w bęben przed straganem swoim.

Z zadowoleniem opuszczamy nieznośną kakofonię i tumany drażniących fanfar, aby odetchnąć swobodnie w jakim odosobnionym zakątku, patrząc ze zdumieniem na czysty strumień, las zaciszny i samotność przyjemną. Dzięki Bogu, są jeszcze nienaruszone schronienia. Choćby najpotężniejszą była wrzawa, choćby najbardziej ogłuszającemi głosy bufonów i błaznów, wszystko to nie sięga po za pewną granicę, gdzie uspakaja się i gaśnie. Dziedzina milczenia i ciszy rozleglejsza jest od sfery głośnej wrzawy. To pociesza nas bardzo.

Postawmy stopę na progu tego świata nieznanego, gdzie przebywa dobro zapoznane, znojna praca cicha. Jednej chwili porywa nas czar na widok nietkniętych i niepokalanych śnieżnych przestrzeni, wonnych kwiatów samotnych, zagubionych ścieżynek, które zdają się prowadzić ku widnokręgom bezkresnym.

Świat jest stworzony w ten sposób, że sprężyny pracy, najdzielniejsze czynniki, są wszędzie ukryte. Natura z pewną kokieteryą maskuje swą działalność. Powinniśmy zadać sobie ten trud, aby ją obserwować, aby przenikać we wszystkie jej przejawy, jeżeli chcemy poznać jej tajemnice i badać rzeczy, nieobjęte poznawaniem zmysłowem. Podobnie w społeczeństwie ludzkiem, siły dążące do dobra pozostają niewidzialne; podobnie w życiu każdej jednostki: to, co ma najlepszego, spoczywa w najtajniejszej jej głębi. Im energiczniejsze są uczucia, im głębiej zakorzenione w naszej istocie, tem mniej szukają ostentacyi, tem więcej uważałyby za profanacyę wystawienie siebie na widok publiczny. Znajdujemy ukrytą a niewysłowioną radość w posiadaniu w swem sercu wewnętrznego świata, znanego Bogu jedynie, z którego płynie nasz zapał, nasze porywy, codzienne wznowienie naszej odwagi i najpotężniejsze motory naszej pracy zewnętrznej. Kiedy to życie wewnętrzne traci swą siłę natężenia, kiedy człowiek je zaniedbuje dla powierzchownych względów, traci na wartości to, co zyskuje na pozorach. Smutnem zrządzeniem losu zdarza się, że w miarę zdobywanego uwielbienia, wartość nasza zmniejsza się widocznie. Stopniowo nabieramy przekonania, że wszystko, co jest najlepszego, pozostaje światu nieznanem, ponieważ ci tylko o tem wiedzą, co je posiadają, a objawienie tego innym znaczyłoby odjęcie czarownej jego woni.

Niektórzy zapaleni miłośnicy natury lubią ją szczególniej w nieznanych zakątkach, w gęstwinach leśnych, w głębokościach dolin, wszędzie tam, gdzie

nikt jeszcze nikt jej nie podziwiał. Całe dnie możnaby spędzać, z zapomnieniem czasu i życia, patrząc na nietknięte samotnie, w których ptaszyny budują gniazda i żywią swe pisklęta, lub zwierzyna ściga się i dokazuje. Podobnie dobra należy szukać w samem jądrze, tam, gdzie niema ani przymusu, ani pozy, ani galeryi żadnej, lecz prosty fakt życia, polegającego na pragnieniu spełnienia swego zadania, bez troski o cokolwiekbądź innego.

Niechaj będzie wolno zamieścić tutaj kilka uwag z doświadczenia nabytych. Pomijając nazwiska, nie będę grzeszył brakiem dyskrecyi.

W rodzinnych moich stronach w Alzacyi, na samotnej drodze, której nieskończona wstęga wije się w lasach Wogezów, spotykam od trzydziestu lat kamieniarza, tłukącego kamienie. Pierwszy raz go zobaczyłem wówczas, kiedy jako młody uczeń z wezbranem sercem jechałem do szkół z domu. Widok tego człowieka zrobił mi dobrze, ponieważ śpiewał piosenkę przy swej ciężkiej pracy. Zamieniliśmy kilka słów, a on zakończył: „No, chłopcze, odwagi i powodzenia!“ Od tej chwili przebywałem niejednokrotnie tę drogę w najróżnorodniejszych okolicznościach, przykrych i radosnych. Ja przestałem być uczniem, kamieniarz pozostał takim samym; zabezpieczył się tylko przeciwko nagłym zmianom atmosfery; słomiana plecionka pokrywa jego plecy, lub futrzana czapka wsunięta głęboko ochrania oczy. A las zawsze niesie w dal echo jego dzielnego młota. Biedny stary! Tyle burz, tyle nawałnic przeszło przez jego plecy, tyle ciosów biło w jego życie, jego rodzinę, jego ojczyznę, on zawsze tłucze swoje kamienie i czy odjeżdżam, czy powracam, znajduję go zawsze nad brzegiem drogi, uśmiechniętego pomimo wieku i zmarszczek, pogodnego, mającego zawsze na ustach, szczególniej w dniach ciężkich, te słowa prostoty, które takie wrażenie robią, szczególniej kiedy je mówi człowiek-kamieniarz. Nie umiałbym bezwzględnie określić wzruszenia, jakiego doznaję zawsze na widok tego człowieka. Nawet nie domyśla się tego. Czyż może być widowisko bardziej wzmacniające, lecz jednocześnie bardziej surowe dla pychy, nurtującej w naszych sercach, jak to zestawienie z prccownikiem prostym, przypominającym w pracy swojej rosnący dąb lub wschodzące słońce, ktore nigdy się nie troszczy, czy je kto podziwia.

Znałem również dużo nauczycielek i pedagogów starych, którzy przeszli przez życie zawsze jednakiej pracy oddani: usiłowaniu wprowadzenia do głów nieraz twardszych od kamieni pierwiastków wiedzy ludzkiej i ogólnych zasad postępowania. Oni dusze w tę pracę włożyli w ciągu długiej i znojnej karyery, nie zwracając bynajmniej uwagi ludzi; w końcu spoczną w nieznanym grobie i nikt o nich pamiętać nie będzie, z wyjątkiem kilku ludzi, może równie cichych i biednych jak oni. Nagroda ich spoczywa w miłości; nikt nie może przewyższyć tych pokornych i zapoznanych

Ileż cnót ukrytych daje się odkryć, umiejąc szukać w pewnej kategoryi osób, często ośmieszanych bez zastanowienia, że popełniamy okrucieństwo, niewdzięczność i głupotę. Chcę mówić o starych pannach. Z przyjemnością zaznaczamy, że niektóre zwracają uwagę ubraniem i powierzchownością, co zresztą niczego za sobą nie pociąga; pamiętamy, że inne obojętnieją na wszystko, a całą potęgę swoich uczuć zatapiają w trosce o własne wygody, w pielęgnowaniu czyżyków, kotów, papug i wówczas w egoizmie przewyższają najbardziej zatwardziałych starych kawalerów. Lecz co najczęściej pokrywamy

nieświadomością, to ogrom poświęcenia, ukrytego skromnie w życiu tych starych panien, poprostu niezrównanych. Czyż to nie jest rzeczą wielką nie mieć ani ogniska domowego, ani miłości, ani przyszłości, ani ambicyi i pragnień osobistych; wziąć na siebie krzyż samotności, tak ciężki do dźwigania, zwłaszcza kiedy z samotnością zewnętrzną łączy się samotność serca, zapomnieć o sobie i nie mieć innego celu, jak opiekowanie się starymi rodzicami, siostrzeńcami-sierotami, ubogimi, kalekami. Powierzchownie sądzone, te biedne istnienia nie mają świetności ani blasku, budzą raczej litość niż zazdrość. Ci, którzy przystępują do nich z szacunkiem, przeżuwają tajemnice bolesne, wielkie przejścia przebyte, ciężkie krzyże, pod któremi uginają się wątłe ramiona, lecz to jest tylko ciemna strona. Należałoby módz ocenić to bogactwo serca, tę dobroć niezrównaną, tę potęgę kochania, pocieszenie, rozbudzenie nadziei, to radosne poświęcenie samej siebie, ten nieprzezwyciężony upór w słodyczy i przebaczeniu nawet tym, którzy na to nie zasługują. Biedne stare panny! Ileż one tonących wyratowały, rannych uleczyły, błądzących na właściwą skierowały drogę, sierot przygarnęły — dla wieluż istot one były wszystkiem, one, które często nie miały nikogo! Lecz mylę się. Nad niemi czuwało wielkie Miłosierdzie, to Miłosierdzie nieznane, które opiekuje się naszem życiem i cierpi nad naszą niedolą. Zapomniane, często spotwarzane, mają sobie powierzone święte posłannictwo i dlatego niezawodnie po ich przejściu zdaje się płynąć cichy szmer skrzydeł Anioła pociechy.

Dobro objawia się pod tylu różnorodnemi formami, że często z równym trudem je odkrywamy,

jak najlepiej ukryte niecne postępki. Pewien lekarz rosyjski, który dziesięć lat życia spędził na Syberyi, skazany do ciężkich robót za polityczne przestępstwo, z przyjemnością przytaczał rysy wspaniałomyślności, odwagi, ludzkości, zauważone nietylko u niektórych więźniów, lecz również i u dozorców. Przychodzi ochota zapytać: gdzież zatem dobro się mieści? Życie daje niekiedy wielkie niespodzianki i odejmujące otuchę kontrasty. Spotykamy uczciwych ludzi, cieszących się nieskalaną opinią, wielbionych przez otoczenie, którym rzeczywiście nic nie można zarzucić, oprócz oschłości i twardości serca, podczas kiedy ze zdumieniem widzimy czasem u istot upadłych i poniewieranych dowody tkliwości prawdziwej i jakby żądzę poświęcenia.

Niechaj mi będzie wolno mówić obecnie, poruszając zapoznane dobro, o ludziach sądzonych zazwyczaj z najwyższą niesprawiedliwością—o ludziach bogatych. Niektórym zdaje się, że zrobili wszystko, kiedy zbeszcześcili niegodny kapitał. Dla nich wszyscy, posiadający duży majątek, są potworami, przesiąkniętymi krwią nieszczęśliwych. Inni, więcej umiarkowani, nie przestają jednak identyfikować bogactwa z egoizmem i nieczułością. Należy sprostować te wyrachowane lub mimowolne pomyłki. Zapewne są ludzie bogaci, którzy się nie troszczą o nikogo, a inni świadczą miłosierdzie jedynie dla parady. Wiemy o tem dobrze. Lecz czyż ich postępowanie nieludzkie i obłudne jest w stanie zmniejszyć wartość dobra, czynionego przez innych, a często ukrywanego z niezrównaną skromnością?

Znałem człowieka, dotkniętego wszystkiemi nieszczęściami, jakie tylko w serce ludzkie uderzyć mogą. Stracił żonę umiłowaną, pochował kolejno wszy-

stkie dzieci w przeróżnym wieku. Posiadał duży majątek, owoc swej pracy. Żyjąc w nadzwyczajnej prostocie, pozbawiony prawie potrzeb osobistych, spędzał czas na wyszukiwaniu sposobności czynienia dobrze i na korzystaniu z nich. Trudno sobie wyobrazić, ilu ludzi pochwycił on na gorącym uczynku wstydzącego się żebrać ubóstwa, ile wynalazł sposobów przynoszenia ulgi niedoli, ile światła rzucił w istnienia ciemne, ile przyjacielskich niespodzianek swoim znajomym sprawił. Największą jego przyjemnością było czynić dobrze innym, cieszyć się ich zdumieniem, kiedy nie wiedzieli, zkąd to dobro spada. Miał upodobanie w naprawianiu niesprawiedliwości losowych, w wyciskaniu łez szczęścia ludziom prześladowanym przez złą dolę. Bezustannie spiskował, układał, manewrował w cieniu, z dziecinną trwogą, aby go kto wówczas nie przyłapał. Po jego śmierci poznano większą część jego czynów, a jakiejże dużej liczby nikt nigdy znać nie będzie!

To był prawdziwy komunista. Są bowiem dwojakiego rodzaju komuniści. Ci, którzy dążą do przywłaszczenia sobie cudzego dobra; są liczni i bardzo pospolici. Dla nich wystarcza dobry apetyt. Inni, żądni podzielenia własnego dobra z takimi, którzy są go pozbawieni, muszą być o wiele cenniejsi i rzadsi; do rzędu takiego rodzaju wybrańców mogą tylko należeć ludzie, którzy mają zacne i szlachetne serca, pełne zaparcia siebie, wrażliwe zarówno na szczęście, jak na niedolę bliźnich. Na szczęście, rasa tych komunistów nie wygasła jeszcze; doznaję głębokiego zadowolenia w składaniu im hołdu, którego nie wymagają.

Proszę o wybaczenie rozwlekłości. Przyjemnie przestać mówić o niegodziwościach, pesymizmie, szarlatanizmie, a zwrócić oczy na rzeczy piękniejsze i oddychać wonią tych zapadłych kątów, gdzie dobroć prawdziwa kwitnie. Pewna cudzoziemka, nieprzyzwyczajona widocznie do życia paryskiego, opowiadała mi kiedyś o wstręcie, jaki w niej budzą obrazy, przesuwające się przed jej oczyma: te wstrętne ogłoszenia, te dzienniki zjadliwe, te kobiety z farbowanemi włosami, cały ten tłum zapełniający kawiarnie, domy gry, place wyścigowe, oddany zepsuciu, porwany prądem życia powierzchownego i światowego. Nie wymówiła wyrazu Babilon, ale to może z litości dla mieszkańca tego miasta, na zatracenie skazanego. „Niestety, pani, te rzeczy są smutne, lecz pani nie widziała jeszcze wszystkiego." „Boże chroń!" — odparła. „Nie pragnąłbym, aby pani widziała wszystko, bo jeżeli są strony brzydkie, są również budzące otuchę." Weźmy inną dzielnicę, lub patrzmy w innej godzinie. Paryż w rannej porze daje obraz odmiennych pierwiastków, aniżeli Paryż w godzinach nocnych. Spojrzyjmy między innemi na stróża zamiatającego ulicę, który wychodzi o godzinie, w której spać idą rozpustnicy i nierządnice. Pod łachmanami ukryte, jakież-to ciała karyatyd, jakież postacie surowe! Z jaką powagą zamiatają oni resztki bankietów nocnych! Zdają się być prorokiem na progu pałacu Baltazara. Widzimy między nimi kobiety, starców dużo. Kiedy zimno, chuchają w palce i zamiatają dalej. I tak codziennie. To są również mieszkańcy Paryża. Idźmy następnie na przedmieścia, do cyrkułów szczególnie małych, gdzie majster z czeladnikiem pracują razem. Zobaczymy całą armię robotników przy pracy. Z jakąż wesołością młode dziewczęta biegną z oddalonych dzielnic do magazynów, pracowni, biur różnorodnych. Wejdźmy do domów, poznajmy kobietę z ludu przy robocie. Zarobek skromny, mieszkanie ciasne, dzieci dużo, często mąż okrutny. Zbierzmy

biografie ubogich ludzi, budżety skromnych małżeństw i zastanówmy się dobrze.

Zobaczmy następnie uczniów. Takich, którzy którzy urządzają skandale, jest zapewne wielu, lecz takich, którzy pracują, całe legiony. Ale oni siedzą w domu, nikt o nich nie wie. Trudno sobie wyobrazić, do jakiego stopnia mozolą się i kują mieszkańcy całego *Quartier Latin*. Wiemy z dzienników, jak się sprawia pewna część uczącej się młodzieży; dużo piszą o tych, którzy tłuką szyby, lecz pocóż mieliby pisać o takich, którzy ślęczą po nocach nad zagadnieniami wiedzy i historyi? To publiczności nie zajmuje bynajmniej. Kiedy którykolwiek z nich, student medycyny, umiera jako ofiara obowiązku zawodowego, pisma publiczne konstatują to na dwóch linijkach, bójki pijaków pół kolumny zajmują, opisane są, wypieszczone niemal najdrobniejsze szczegóły. Brakuje tylko portretu bohaterów — i to nie zawsze.

Trudno byłoby skończyć, gdybym chciał wskazać wszystko, co należałoby zobaczyć, aby widzieć dokładnie. Przedewszystkiem należałoby obejść całe społeczeństwo, bogatych i ubogich, uczonych i głupców. Wówczas nie sądzilibyśmy tak surowo. Paryż jest światem i tak jak w całym świecie, dobro się ukrywa, a zło widnieje. Sądząc pewierzchownie, występuje pytanie, jakim sposobem jest tak dużo hołoty. Sięgając głębiej, widzimy przeciwnie ze zdumieniem, jak wielka cnota i w jak wielkiej ilości kryje się w tem życiu męczącem, ponurem, niekiedy potwornem.

Czemuż tak długo pisać o tem wszystkiem? Aby robić reklamę tym, którzy jej nie znoszą. Nie w ten sposób należy mnie pojmować. Moim celem jest zwrócenie uwagi na zapoznane dobro, nadewszystko zaś zachęcenie do miłowania go i praktykowania. Można uważać za straconego człowieka, który znajduje upodobanie tylko w tem, co błyszczy i uderza w oczy: najpierw dlatego, że może tylko widzieć zło; powtóre dlatego, że przyzwyczaja się do spostrzegania jedynie dobra, które pożąda wzroku i dlatego, że łatwo podlega pokusie istnienia dla blasku. Nietylko należy godzić się na życie ukryte, należy je kochać, jeżeli nie chcemy powoli stoczyć się do rzędu figurantów teatralnych, którzy zwracają uwagę na zachowanie jedynie w oczach widzów, a za kulisami wynagradzają sobie przymus zadany na scenie. Stajemy tutaj wobec jednego z zasadniczych pierwiastków życia moralnego. To, co mówimy, dotyczy nietylko tych, których nazywamy pokornymi i których przeznaczeniem jest niezwracanie uwagi. Zastosować to należy i dużo więcej jeszcze do ludzi odgrywających wybitnie role. Jeżeli nie chcesz być błyszczącym darmozjadem, pasorzytem społecznym, człowiekiem z cennemi frazesami, a pustką w sercu, powinieneś spełniać swoje zadanie w duchu prostoty, najpokorniejszego z twoich współpracowników. Jeżeli przypadnie nam w udziale niebezpieczny zaszczyt stania na widowni i kroczenia w pierwszym rzędzie, utrzymujmy w życiu tem staranniej wewnętrzne sanktuaryum nieznanego dobra. Nadajmy gmachowi, którego drudzy podziwiają fasadę, szeroką podstawę prostoty, wierności pokornej. Zbliżajmy się do nieznanych z sympatyą, wdzięcznością. My wszystko im zawdzięczamy, nieprawdaż? Biorę na świadków tych, którzy w dziedzinie ludzkiej nabrali pocieszającego doświadczenia, że ukryte w ziemi kamienie gmach cały podtrzymują. Ci wszyscy, którzy dochodzą do posiadania wartości uznanej i publicznej, zawdzięczają ją pewnym nieznanym przodkom duchowym, jakiemuś nieuświadomionemu, czy zapomnianemu na-

tchnieniu. Mała liczba osób dobrych, pomiędzy któremi znajdują się często wieśniacy, kobiety, ofiary losowe, krewni ubodzy, ale szanowni, uosabiają dla nas piękne i podniosłe życie. Ich przykład jest dla nas podporą i natchnieniem. Ich wspomnienie nie odstępuje naszego trybunału wewnętrznego. Widzimy ich przed sobą spokojnych i odważnych w godzinach bólu i wówczas krzyż nasz zdaje nam się lżejszym. Zbitym zastępem niewidzialni a drodzy otaczają nas wiernie, nie dają upaść i potknąć się w boju. Codziennie stwierdzają, że skarbem ludzkim jest dobro przez świat nieznane.

X.

ŚWIATOWOŚĆ I ŻYCIE DOMOWE.

Za czasów drugiego Cesarstwa, w jednej z naszych ładniejszych podprefektur, w pobliżu miejscowości kąpielowej, uczęszczanej przez cesarza, mieszkał mer bardzo szanowny, inteligentny nawet, któremu zupełnie przewróciła w głowie myśl, że monarcha mógłby kiedyś znaleźć się w jego domu. Dotąd żył w starej przodków siedzibie, pełen poszanowania dla odwiecznych tradycyi. Zaledwie nadzieja podejmowania władcy Francuzów opanowała jego umysł, stał sie zupełnie innym człowiekiem To, co dotąd było dla niego wystarczającem, nawet zbytkownem, cała prostota umiłowana przez dziadów i pradziadów, wydała mu się brzydką, niedostateczną, pogardy godną. Przecież niepodobna wprowadzić cesarza przez schody drewniane, kazać mu siedzieć na starych fotelach, dopuścić, aby postawił nogę na wytartych dywanach. Mer sprowadza architekta i cieślę, burzy mury, urządza salon nieod-

powiadający zbytkiem i rozmiarem całości domu, zamieszkuje z rodziną kilka ciasnych komnat, gdzie meble i ludzie zawadzają sobie wzajemnie, wreszcie przewróciwszy dom do góry nogami, wypróżniwszy kieszeń, oczekuje cesarskiego gościa. Niestety, nastąpił koniec cesarstwa, cesarz nie przyjechał.

Szaleństwo tego rodzaju nie jest tak rzadkiem, jakby się zdawało, śmiało można nazwać waryatami wszystkich, którzy życiu światowemu poświęcają życie domowe.

Im więcej czasy są niespokojne i burzliwe, tem groźniejszem staje się niebezpieczeństwo podobnej zamiany, niebezpieczeństwo, któremu ludzie współcześni w wysokiej mierze ulegają. Ileż skarbów rodzinnych zostało rozproszonych dla zadowolenia ambicyi i konwenansów światowych. a szczęście, które kosztem tych ofiar miało być okupione, zawsze na siebie czekać kazało. Czyż to nie jest największem głupstwem porzucać ognisko domowe, poniewierać stare tradycye, zaniedbywać proste domowe zwyczaje! Znaczenie życia domowego jest tak niesłychanie ważnem w społeczeństwie, że osłabienie jego daje się odczuwać w całym organizmie społecznym. Dla normalnego rozwoju organizm ten potrzebuje członków silnych, z nieugiętą mocą, z osobistą wartością. Inaczej społeczeństwo staje się stadem, niekiedy stadem pozbawionem pasterza. Gdzież jednostka czerpać będzie swoją oryginalność, to coś wyłącznego, które, połączone z zaletami znamiennemi innych, stanowi bogactwo i trwałość środowisk: Czerpać może jedynie w rodzinie. Zniszczmy zwyczaje i wspomnienia, tworzące z każdego wnętrza świat w miniaturze, a wysuszymy źródła charakteru, podetniemy podstawę publicznego ducha.

Niesłychanie dużo dla ojczyzny znaczy, aby każde ognisko było światem głębokim, poważnym, udzielającym swym członkom niezatartego piętna

moralnego. Zanim pójdziemy dalej, wyjaśnimy tutaj pewne błędne mniemanie. Duch rodzinny, jak wszystkie najpiękniejsze rzeczy, posiada swoją karykaturę, zwaną egoizmem domowym. Niektóre rodziny przypominają twierdze obwarowane, w których zorganizowano się dla eksploatowania świata zewnętrznego. Obojętnem jest dla nich wszystko, co nie dotyczy ich bezpośrednio. Znajdują się w położeniu nowych przybyszów, powiem prawie intruzów w społeczeństwie, w którem żyją. Partykularyzm posuwają do tego stopnia, ze tworzą niemal wrogów rodzaju ludzkiego. Na małej stopie przypominają potężne społeczeństwa, pojawiające się od czasu do czasu w biegu dziejów, społeczeństwa, które zawładnęły władzą świata i dla których nic nie istniało po za niemi samemi. Ten duch właśnie sprawił, że niektórzy uważają rodzinę jako jaskinię egoizmu, którą zniszczyć należy dla zbawienia społeczeństwa. Lecz tak jak istnieje otchłań między ślepem obstawaniem za ciałem, do którego się należy, a duchem stronnictwa, tak również taka sama jest otchłań pomiędzy duchem rodzinnym a duchem koteryi, rodzinnego zasklepienia.

Otóż o ducha rodzinnego idzie nam tutaj. Niema rzeczy na świecie, któraby go zastąpić mogła, ponieważ zawiera w sobie zarodki wszystkich wielkich i prostych cnót, zapewniających trwałość, ciągłość i potęgę instytucyj społecznych. U podstawy ducha rodzinnego widzimy poszanowanie przeszłości, gdyż najcenniejszą rzeczą w rodzinie są wspomnienia wspólne. Te wspomnienia stanowią depozyt święty, kapitał nieprzedawalny, niepodzielny, nieumarzalny. Każdy z członków rodziny powinien je uważać za skarb najcenniejszy. Istnieją w dwoja-

kiej formie: w myśli i w czynie. Spotykamy je w mowie, w utartych kolejach myśli, w uczuciach, w instynktach nawet. W materyalnej formie objawiają się w portretach, meblach, budowlach, kostyumach, śpiewach. W oczach profanów to niema znaczenia; dla tych, którzy umieją oceniać przedmioty życia rodzinnego, to są relikwie, których się nie powinno oddawać za żadną cenę.

Ogólnie biorąc, cóż się dzieje w świecie, w którym żyjemy? Światowość staje do boju z duchem rodzinnym. Wszystkie walki bywają zaciekłe, nie znam jednak od tej namiętniejszej. Wszelkiemi sposobami od największych do najdrobniejszych, przyzwyczajaniami nowemi, wymaganiami, pretensyami, duch światowy wdziera się do sanktuaryów domowych. Jakie są jego prawa? jakie tytuły? Na czem opiera swoje uroszczenia stanowcze? Ogólnie nikt o to nie pyta. A tak być nie powinno. Zachowujemy się względem tego zaborcy, jak ubodzy, prości ludzie względem gościa rozmiłowanego w przepychu. On dzień jeden bawi, a oni dla niego niszczą ogród, przewracają dom, żywią byle czem dzieci i służbę, zaniedbują pracę. Niesłuszne i niewłaściwe postępowanie. Powinniśmy mieć odwagę być tem, czem jesteśmy, w obliczu kogokolwiek w świecie.

Duch światowy może być nazwany bezczelnym. Oto mamy przed sobą domowe wnętrze proste i skromne, wytwarzające charaktery wybitne i znamienne. Ludzie, umeblowanie, zwyczaje, wszystko się trzyma. Małżeństwo, stosunki towarzyskie lub pieniężne, wprowadzają ducha światowego. Ów duch znajduje wszystko starem, naiwnem, niezgrabnem, niemodnem. Początkowo ogranicza się na krytyce, na dowcipnej szykanie. To chwila najniebezpieczniejsza. Strzeżcie się, wróg czyha! Jeżeli dacie się mu pociągnąć, jutro poświęcicie mebel, pojutrze prastarą tradycyę, stopniowo te wszystkie drogie relikwie serca, zabytki rodzinne, miłość rodzinną...

Wśród zwyczajów dawnych i środowiska zmienionego wasi przyjaciele dawniejsi, wasi rodzice starzy, czują się wykolejeni. Wy sami pozbawieni otoczenia, bezwzględnie przeobrażonego, ze zdumieniem samych siebie widzieć w niem będziecie. Ono wam nic o przeszłości nie powie, lecz ono będzie bez zarzutu i duch światowości poczuje się zadowolonym. Niestety, to was w pole wyprowadza. Zmusiwszy was do wyrzucenia najczystszych skarbów, znajdzie was jakby ukradzionymi w waszej liberyi nowej, da wam czemprędzej odczuć śmieszność podobnego położenia. Więc lepiej było od początku zdobyć się na odwagę przekonań i obronić swoje ogniska.

Wielu młodych ludzi żeniąc się, ulega podszeptom ducha światowości; rodzice dawali im dobry przykład życia skromnego, lecz młode pokolenie usiłuje zaznaczać swe prawa do istnienia i wolności, pogardzając rodzajem życia w ich oczach zbyt patryarchalnym. Urządzają się podług ostatniej mody, pozbywają za bezcen potrzebnych przedmiotów, wydają mnóstwo pieniędzy. Zamiast napełniać dom rzeczami, które mówią: pamiętaj! wstawiają nowe meble, do których żadna myśl jeszcze nie jest przywiązaną. Przeciwnie, te przedmioty często zdają się być symbolami życia łatwego i powierzchownego, tchnąć poniekąd duchem popsutym świata. Przypominają życie zewnętrzne, wir tego świata. Chociażbyśmy chcieli zapomnieć niekiedy, zwracają myśl i mówią w innem znaczeniu: Pamiętaj! nie zapominaj o godzinach klubu, widowisk, wyścigów. Dom zorganizowany jest w ten sposób, że staje się pewnego rodzaju zajazdem, w którym odpoczywamy między dwiema nieobecnościami, zbyt przedłużonemi. Dłuższy pobyt w nim nie smakuje. Pozbawiony du-

szy, nie przemawia do duszy. Po godzinach spania, jedzenia, musimy uciekać; inaczej groziłoby nam więzienie, zasklepienie.

Wszyscy znamy ludzi, którzy mają pasyę bywania, którym zdawałoby się, że świat w biegu stanie, gdyby ich wszędzie nie było. Siedzenie w domu jest dla nich pańszczyzną, wstręt do życia domowego posuwają do tego stopnia, że wolą płacić, aby się nudzić po za domem, aniżeli darmo bawić się w domu.

Stopniowo społeczeństwo skłania się do życia rozdzielonego na grupy, życia, które nie należy łączyć z życiem publicznem. Życie grupami jest takie, jak życie rojów much na słońcu. Nic nie może być bardziej podobnem do życia światowego jednego człowieka, jak życie światowe drugiego, a ta powszechna banalność niszczy istotę samą ducha publicznego. Nie potrzeba szukać daleko, aby stwierdzić wielkie spustoszenia, dopełnione przez ducha światowości w nowoczesnem społeczeństwie, i jeżeli mamy tak mało podstaw równowagi, tak mało spokojnego zdrowego rozsądku inicyatywy, należy upatrywać przyczyny tego w rozprzężeniu życia domowego. Tłumy naśladują świat wyższy — pospólstwo nabrało światowości. Bo czyż to nie jest światowością opuszczać domowe ognisko i przesiadywać w karczmie? Nędza, zły, niehygieniczny, okropny ustrój mieszkań, nie usprawiedliwiają w dostatecznej mierze prądu, zabierającego mieszkańców z obrębu własnego *home*. Dlaczego wieśniak ucieka do karczmy z domu, w którym jego ojcu i dziadowi tak dobrze było? Mieszkanie to samo; ten sam ogień na tym samym kominie, dlaczego około tego ognia tak małe grono się zgromadza, na miejscu, gdzie da-

wniej cisnęli się młodzi i starzy? Nastąpiła zmiana w duchu ludzkości. Ulegając niezdrowym żądzom, ludzie zerwali z prostotą. Ojcowie porzucili swoje pierwsze miejsca, matki wegetują przy samotnych ogniskach, dzieci kłócą się w oczekiwaniu chwili, kiedy będą również mogły rozproszyć się na wszystkie strony.

Powinniśmy powrócić do oceniania życia domowego i znaczenia tradycyi domowych. Pobożna pieczołowitość uświęciła pewne pomniki, jedyne szczątki minionej przeszłości. Podobnież stare zwyczaje, prowincyonalne dyalekty, pieśni odwieczne, znalazły przed zniknięciem ze świata troskliwe dłonie, które je podjęły. Jakże to jest dobrze przechowywać te szczątki wielkiej przeszłości, te ślady duszy pradziadów? Postępujmy tak samo z tradycyami rodzinnemi, starajmy się ocalić i przechować możliwie najdłużej wszystko, co posiada w sobie coś patryarchalnego, pod jakąkolwiekbądź formą!

Lecz nie wszyscy posiadają tradycye do przechowania. Dlatego też powinniśmy ze zdwojonem usiłowaniem myśleć o ustroju i rozwoju życia rodzinnego. Aby stworzyć *home*, potrzeba mieć ducha domowego. Tak jak najmniejsza wioska może mieć swoją historyę, swoje piętno moralne, tak również najmniejsze domowe wnętrze może posiadać swą duszę. Cóż można równać z duchem ogniska domowego, z atmosferą mieszkań ludzkich, z tym światem tajemnic! Za progiem domu zimno przejmuje, niesmak ogarnia, wszystko odpycha. Przekroczywszy próg, zamknąwszy drzwi, otacza nas dobry humor, ciepło i wesołość. Mówią, że ściany mają uszy. Mają również swe głosy, swoją niemą wymowę. Nad wszystkiem w mieszkaniu unosi się duch ludzki. Widzę dowód potęgi tego ducha nawet

w mieszkaniach kawalerów i kobiet samotnych. Jakaż przepaść między jednym pokojem a drugim! Tutaj obojętność, martwota, poziomość; dewiza mieszkańca zdaje się być wyryta nawet w sposobie układania książek i fotografii. *Wszystko nie jest jedno.* Tam rozkosz życia, pociąg wzajemny w tysiącznych formach zdaje nam się mówić: kimkolwiek jesteś gościu chwilowy, pragnę twego dobra, twego spokoju.

Nigdy nie będziemy w stanie przedstawić należycie potęgi ogniska domowego, wpływu kwiatu ulubionego, pielęgnowanego na oknie, czaru starego fotelu, na którym dziadunio siedział, dając zmarszczone ręce do całowania wnukom. Biedni ludzie nowocześni! ich udziałem wieczne przeprowadzki, wieczne przeobrażenia! My, którzy wskutek stałej przemiany postaci naszych miast, naszych domów, naszych zwyczajów, naszych wierzeń, nie mamy gdzie głów naszych złożyć, nie powiększajmy smutku i próżni niepewnych istnień wygasłego ogniska, stwórzmy nienaruszone schronienia, ciepłe gniazdka, gdzie dzieci stają się ludźmi, gdzie miłość znajduje ciche ustronie, starość odpoczynek, modlitwa ołtarze, i kult ojczyzna!

XI.

PIĘKNO PROSTE.

Niektórzy mogliby zaprotestować w imię estetyki przeciw organizacyi życia prostego, albo przeciwstawić nam teoryę pożytecznego zbytku, opatrzności interesów, żywiciela i podpory sztuk wszelakich, ozdoby cywilizowanych społeczeństw. Odpowiemy im z góry kilku krotkiemi uwagami.

Czytelnik zauważył zapewne, że duch ożywiający tę książkę, nie jest duchem utylitaryzmu. Byłoby błędnem przekonanie, że prostota, której poszukujemy, ma cośkolwiek wspólnego z prostotą, jaką zachowują skąpcy przez sknerstwo a ciasne umysły przez błędną surowość. Dla pierwszych życie proste, to życie za pół darmo. Dla drugich, to istnienie zamglone i wegetacyjne, gdzie zasługa polega na pozbawianiu się wszystkiego co błyszczy, uśmiecha się i czaruje.

Nie powstajemy bynajmniej przeciwko tym, którzy posiadając duże środki, obracają majątkiem,

zamiast dusić pieniądze, podtrzymują handel, rozwijają sztuki piękne. Niezaprzeczenie, umieją korzystać doskonale z uprzywilejowanego położenia. My zwalczamy tylko rozrzutność niemądrą, egoistyczne bogactwa, używanie, nadewszystko skłonność do zbytku u tych, którzy potrzebują przedewszystkiem czuwać nad tem co niezbędne. Przepych jakiegoś Kajusa Mecenasa nie zdołałby wywrzeć takiego wpływu na społeczeństwo, jak zbytek zwykłego sybaryty, zadziwiającego współczesnych wystawnością życia i szaleństwem marnotrawstwa. Podobne porównanie zastosować można do rzeczy całkiem odmiennych. Siać pieniądze nie jest wszystkiem; są sposoby rozsiewania, które uszlachetniają ludzi, są inne upadlające. Rozsiewanie pieniędzy każe się domniemywać obfitego ich posiadania. Kiedy zamiłowanie życia wystawnego porywa ludzi posiadających środki ograniczone, postać rzeczy się zmienia. W tych czasach uderza przedewszystkiem zapamiętałość w wydawaniu majątku u ludzi, którzy oszczędzać powinni. Wspaniałomyślność jest dobrodziejstwem społecznem, zgadzamy się chętnie. Nie przeczymy również, że rozrzutność niektórych bogaczów możnaby nazwać upustem dla nadmiaru. Stwierdzamy tylko, że zbyt wielu jest ludzi, którzy tym upustem posługują się wówczas, kiedy ich interesem i obowiązkiem byłoby oszczędzanie: ich zbytek i ich zamiłowanie zbytku, to nieszczęście prywatne i niebezpieczeństwo publiczne.

Tyle o zbytku pożytecznym.

Chcielibyśmy obecnie poruszyć kwestyę estetyki, o, bardzo skromnie, nie wkraczając bynajmniej w dziedzinę specyalistów. Zbyt pospolite złudzenie każe uważać prostotę i piękność jako dwie rywalki.

Przecież prostota nie jest synonimem brzydoty, jak rzeczy zbytkowych, przeciążonych kosztowne, nie można uważać za jedno z pięknemi. Oczy nasze razi krzyczący widok piękna głośnego, sztuki przedajnej, zbytku pozbawionego wdzięku i ducha. Bogactwo połączone ze złym smakiem budzi w nas żal, że zużyto tyle pieniędzy na rzeczy marnego gatunku. Nasza sztuka współczesna cierpi na brak prostoty, zarówno jak nasza literatura, zbyt wiele ozdób pododawanych, fioritur niesmacznych, wyobraźni spaczonych. Rzadko w liniach, formach, kolorach, zdarzy nam się podziwiać prostotę, połączoną z doskonałością, narzucającą się oczom, jak oczywistość narzuca się umysłowi. Potrzebujemy odświeżyć się w idealnej czystości nieśmiertelnego piękna, które kładzie swoje piętno na arcydziełach i którego jeden promień wart więcej od wszelkich produkcyi szumnych.

Najbardziej jednak leży nam na sercu, aby mówić o zwykłej estetyce życia, o staraniu, jakie się mieć powinno w ozdabianiu mieszkań osób swoich własnych, dla dodania istnieniu tego blasku, bez którego ono nic nie warte. Nie można nazwać rzeczą obojętną, czy człowiek się troszczy lub nie o tę estetykę konieczną. Poznajemy wówczas, o ile człowiek kładzie duszę w swoje życie. Nie nazywając zbytecznem zatrudnieniem upiększania, pielęgnowania, poetyzowania form, sądzę, że w miarę możności należy mieć je na względzie. Natura nawet świeci nam przykładem, a człowiek odczuwający pogardę dla słabego blasku piękna, jakiem zdobimy krótkie dni życia, sprzeciwiałby się zamiarom Tego, który z jednakiem staraniem i z jedną miłością, zabarwił kwiaty znikome i góry wieczyste.

Nie należy nam tutaj mieszać piękna prawdziwego z tem, co tylko nosi jego miano. Piękno i poezya istnienia zależą od znaczenia, jakie mu nadajemy. Nasze domy, nasz stół, nasza tualeta, powinny być wyrazem naszych intencyi. Lecz aby wyrażać te intencye, należy je przedewszystkiem posiadać. Nie potrzeba być bogatym, aby nadać dużo wdzięku i uroku swemu mieszkaniu i swemu ubraniu. Wystarczy nieco smaku i dobroci. Poruszamy tutaj kwestyę bardzo ważną dla wszystkich, lecz niezawodnie zajmującą więcej kobiety niż mężczyzn.

Ci, którzy zachęcają kobiety do używania materyałów ordynarnych, do ubierania się w szaty nie modne, jednostajne, zadają gwałt naturze w tem, co posiada najświętszego i nie zdają sobie zupełnie sprawy z istotnego znaczenia rzeczy. Gdyby ubranie było tylko zabezpieczeniem od zimna lub deszczu, wystarczyłoby płótno lub zwykła skóra zwierzęca. Człowiek we wszystkie czyny wkłada siebie całego: przeobraża w znamiona rzeczy, któremi się posługuje. Ubranie nietylko jest pokryciem ciała, jest symbolem. Przytaczam na dowód całą bogatą florę kostiumów narodowych i prowincyonalnych, kostiumów, używanych przez nasze dawniejsze korporacye. Ubranie może nam zawsze coś powiedzieć. Im więcej posiada wyrazu, tem więcej jest warte. Aby było prawdziwie pięknem, musi zwiastować rzeczy dobre, rzeczy osobiste i prawdziwe. Przesada mody, zatapiając całkowicie postać niewieścią w ozdobach czysto konwencyonalnych, pozbawia ją głównego wdzięku. Z tego wynika, że niektóre rzeczy, uważane przez kobiety za bardzo ładne, przynoszą równą krzywdę ich piękności, jak kieszeni męża lub rodziców.

Cóż powiedzielibyśmy o młodej panience, posługującej się w wypowiadaniu myśli wyrażeniami wyszukanemi, wytwornemi może, lecz dosłownie

wyjętemi z podręcznika rozmów towarzyskich. Czyż taki język mógłby mieć urok? Najzupełniej takie samowrażenie robiłoby ubranie, dobrze nawet zrobione, lecz bez żadnej różnicy, jednakowe u wszystkich.

Nie mogę się powstrzymać od przytoczenia tutaj słów Kamila Lemonnier:

„Natura włożyła w dłonie kobiece sztukę czarowną, instyktowną niemal, sztukę, będącą jej osobistą własnością, jak jedwabista przędza jest własnością jedwabnika, a przezrocza tkanina własnością pająka... Kobieta jest poetką, artystką swego wdzięku i swego uroku; jest przędzą tajemnicy, którą spowija swój sposób podobania się. Cały talent zużyty przez nią w dorównaniu mężczyznie na wszystkich polach sztuki i wiedzy, nie zastąpi nigdy umiejętności spożytkowania gałganka ozdoby stroju.

„Jak wychowanie powinnoby polegać na myśleniu swoim umysłem, na odczuwaniu swojem sercem, na wyrażaniu indywidualnem swego ja wewnętrznego, ukrytego, które bywa tłumionem i niweczonem przez wzgląd na innych, tak również chciałbym aby młode dziewczę — ta matka w przyszłości — miało w zaraniu życia rozbudzaną estetykę, tualetową estetykę, ono, które kiedyś ubierać i wychowywać będzie swoje dzieci... Lecz obok gustu i daru twórczego, powinno umieć uosabiać siebie, w tem arcydziele zręczności i osobowości kobiecej... bez czego kobieta jest tylko — lalką z gałganów“.

Suknia własnoręcznie zrobiona prawie zawsze leży najlepiej, a w każdym razie największą sprawia przyjemność. Zbyt często zapominają o tem kobiety. Robotnica i wieśniaczka ten sam błąd popełniają. Odkąd jedna i druga ubierają się u szwaczek i modystek, sprzedających im wątpliwe naśladownictwa wielkiej mody, wdzięk prawie zupełnie zniknął z ludowych strojów. A jednak czyż może cośkolwiek w świecie bardziej się podobać, jak

urocze świeżością zjawisko młodej robotnicy, lub dziewczyny z pól, ubranych na modłę krajową i pięknych samą prostotą?

Te same uwagi można zastosować do sposobu urządzania i ozdabiania mieszkania. Jeżeli istnieją tualety objawiające pojęcie życia, kapelusze będące poematami, kokardy i węzły arcydziełami, tak również są urządzenia mieszkań, które na swój sposób przemawiają do ducha. Dlaczegoż pod pretekstem upiększania mieszkania odejmowalibyśmy mu charakter osobisty, mający zawsze swoją wartość? Dlaczegoż nasze pokoje czynić podobnymi do numerów hotelowych, nasze salony do kolejowych dworców, nadając im jednostajny typ urzędowego piękna?

Jakaż-to przykrość oglądać domy jednego miasta, miasta jednego kraju, kraje całego wszechświata i spotykać wszędzie pewne formy identyczne, nieuniknione, drażniące swojem rozmnożeniem. Jakżeby estetyka zyskała na prostocie! Zamiast tego zbytku tandetnego, tych wszystkich ozdób pretensyonalnych, a tak niesmacznych banalnością, mielibyśmy różnorodność nieskończoną. Szczęśliwe pomysły i wynalazki cieszyłyby nasze oczy, upojone widokiem rzeczy nowych a nieprzewidzianych; odkrylibyśmy tajemnicę nadawania tkaninom, meblom, mieszkaniom, tego piętna indywidualności ludzkiej, które niejednę starzyznę czyni nieocenioną.

Na zakończenie przejdźmy do rzeczy bardziej prostych jeszcze, mianowicie do różnych drobnych szczegółów gospodarczych, uważanych przez młode osoby za bardzo mało poetyczne. Ich pogarda dla skromnych domowych zabiegów wypływa z pomieszania pojęć bardzo rozpowszechnionego, lecz niemniej zgubnego, polegającego na przypuszczeniu, że poezya i piękno mogą istnieć w rzeczach, lub nie istnieć. Są zatrudnienia sztuk pięknych, literatury, muzyki; oraz są prace ordynarne, grube jak, czyszczenie bucików, zamiatanie pokojów, pilnowanie komina. Śmieszne, dziecinne mniemanie! Ani smyczek, ani miotła, nie mają znaczenia, wszystko zależy od ręki, która je trzyma, od ducha, który ożywia tę rękę. Poezya nie w rzeczach spoczywa: tkwi w nas samych. Trzeba umieć ożywić nią przedmioty, jak rzeźbiarz swem marzeniem obejmuje marmur. Jeżeli życie nasze i nasze zatrudnienia pozbawione bywają niejednokrotnie uroku, pomimo wartości zewnętrznej, to dlatego, że nie umiemy napełnić je tym urokiem. Pełnia sztuki ich polega na ożywieniu tego, co martwe, na przyswojeniu tego, co dzikie.

Pragnąłbym, aby wszystkie młode dziewczęta usiłowały rozwinąć w sobie dar prawdziwie niewieści, napełniania duszą tego, co jest jej pozbawione. To jest tryumf wdzięku u kobiety. Kobieta jedynie może napełnić dom owym jakimś nieuchwytnym urokiem a jeżeli ktokolwiek twierdzi, że niema czarodziejskich wróżek, że nie było ich nigdy, to nie wie, co mówi. Oryginalny wzór wróżek opiewanych przez poetów, znaleziony został i znajdywany jest zawsze pomiędzy temi uroczemi śmiertelniczkami, które umieją zagniatać ciasto z energią, cerować dziury ze słodyczą, wiązać kokardę z wdziękiem, napełniać duchem przyrządzone potrawy.

Wiemy dobrze, że uprawianie sztuk pięknych posiada w sobie coś umoralniającego i że to, co widzimy, odbija się z biegiem czasu na naszych myślach i na naszych czynach. Lecz uprawa sztuk wszelakich i podziwianie ich płodów, nie dla każdego jest dostępnym przywilejem; nie każdy może posiadać, rozumieć i stwarzać rzeczy piękne. Jest rodzaj piękna ludzkiego, które może znajdować się

wszędzie—piękno płynące z rąk naszych żon i naszych córek. Bez tego piękna czem jest najbardziej ozdobne mieszkanie? Zimną siedzibą. W jego blasku puste, ogołocone *home* nabiera ożywienia i światła. Pomiędzy siłami zdolnemi uszlachetnić i przeobrazić wolę, powiększyć szczęście, niema może siły, której zastosowanie byłoby bardziej ogólnem, bardziej różnorodnem. Umie się ono zaznaczyć przy pomocy najuboższych narzędzi, wpośród najgorszych przeciwności. W najmniejszem mieszkaniu, przy najbardziej ograniczonym budżecie, kobieta może utrzymać ład, czystość i dobrobyt, może wprowadzić staranie i piękno do wszystkiego, cokolwiek podejmuje. Dobrze robić to, co się robi, nie jest w jej oczach przywilejem bogatych, lecz obowiązkiem wszystkich. Dlatego stosuje tę zasadę w praktyce i umie nadać swemu środowisku godność i urok, których nie posiadają nieraz domy zamożne, gdzie wszystko powierzone jest najmitom.

Tak zrozumiane życie objawia się bogate w nieznane piękno, w czary, w zadowolenia i rozkosze wewnętrzne. Być sobą samym, wyprowadzić na jaw, w swem przyrodzonem środowisku, piękno, jakie ono zawiera—oto ideał. Jakże misya kobiety zyskuje na głębokości i na znaczeniu, kiedy się koncentruje w napełnieniu duszą martwych rzeczy i w nadaniu tej duszy — jako zewnętrznego symbolu — delikatnej i miłej powłoki, na którą najbrutalniejsze istoty muszą być wrażliwe! Czyż to nie więcej warte od zazdroszczenia tego, czego się nie posiada, od usiłowania niezręcznego naśladownictwa obcych i niemych wzorów?

XII.

PYCHA I PROSTOTA W STOSUNKACH SPOŁECZNYCH.

Trudno byłoby może znaleźć przedmiot właściwszy niż pycha do stwierdzenia, że przeciwności w dojściu do życia lepszego, spokojniejszego i silniejszego, spoczywają więcej w nas samych, aniżeli w okolicznościach. Różnorodność, a nadewszystko kontrast położeń społecznych, wywołują różnego rodzaju nieuniknione starcia. Lecz o ileż stosunki między członkami jednego społeczeństwa byłyby, pomimo wszystkiego, uproszczone, gdybyśmy umieli innym natchnąć je duchem. Zrozumiejmy najpierw, że nie różnice klasowe, zawodowe, nie fantastyczne uśmiechy losu i przeznaczenia całkiem odmienne, wywołują niesnaski pomiędzy ludźmi. Gdyby tak było, widzielibyśmy sielankowy spokój pomiędzy kolegami różnego rodzaju, pomiędzy ludźmi, związanymi interesami i losem jednakim. Wszyscy wiedzą przeciwnie, że najzawziętsze spory powstają

wśród ludzi blizkich sobie, że niema gorszej wojny niż wojna domowa. A najzawziętszą zaporą do porozumienia ludzkiego jest zawsze i przedewszystkiem pycha. Pycha czyni człowieka podobnym do jeża, który za każdem dotknięciem rani. Zastanówmy się najpierw nad pychą możnych i wielkich tej ziemi.

To, co mnie najbardziej razi w bogaczu, przejeżdżającym karetą, to nie jego ekwipaż, nie stroje, nie liczba i postawa jego służby—to jego pogarda. Największy jego majątek nie drażni mnie, o ile nie mam bardzo złego charakteru; lecz jeżeli on mną pomiata, jeżeli mnie lekceważy, jeżeli całem zachowaniem daje mi odczuć swoją wyższość dlatego tylko, że jestem uboższym, oto co mnie źle usposabia. Następnie sprawia mi on przykrość, a przykrość bezcelową. Nie najniższe, lecz najszlachetniejsze części mojej istoty burzą się wobec tej pychy drażniącej. Nie posądzajcie mnie o zazdrość, nie odczuwam zazdrości: moja godność człowiecza jest dotknięta. Każdy człowiek, znający życie, nabrał rozlicznych doświadczeń, usprawiedliwiających nasze twierdzenia. Nie potrzeba szukać daleko dla uplastycznienia tych wrażeń. W pewnych środowiskach, oddanych interesom materyalnym, pycha majątkowa do tego stopnia bierze górę nad wszystkiem, że ludzie są oceniani tak, jak się ocenia papiery wartościowe. Zawartość szkatuły jest miarą szacunku. Wyższa sfera towarzyska posiada większe fortuny, średnia mniejsze; wreszcie mamy ludzi niezamożnych i biednych. Stosunki wzajemne zależne są od stopy majątkowej. Ludzie względnie zamożni, którzy lekceważą uboższych, doznają ze swej strony wzgardy od bogatszych. Żądza dorównania drugim szerzy spustoszenie wszędzie. Podobne środowisko zdaje się być wybranem dla rozwoju złych instynktów: to nie bogactwo jednak, lecz ducha panującego w tem środowisku należy obwiniać. Niektórzy bogacze, zwłaszcza ci, którzy z ojca na syna przyzwyczajeni są do dobrobytu, nie mają gruboskórnych, uczuć, lecz zapominają, że pewna delikatność nie pozwala na znaznaczanie kontrastów. Przyznając, że niema nic złego w zbytkownem życiu nie możemy uznać za niezbędne roztaczanie tego zbytku, drażnienie niem oczów ludzi, nie mających zaspokojonych najniezbędniejszych potrzeb, stawianie przepychu w zetknięciu z nędzą. Dobry smak i pewnego rodzaju skromność nie pozwalają człowiekowi zdrowemu, mówić o swym apetycie świetnym, śnie kamiennym i całej rozkoszy życia wobec drugiego, którego powolna konsumpcya zabija. Dużej liczbie ludzi bogatych brakuje taktu, a tem samem niekiedy litości i ostrożności. Czyż wolno im, wówczas skarżyć się na zazdrość, im, którzy wszelkiemi sposobami starali się ją wywołać?

Przedewszystkiem wszakże grzeszą brakiem roztropności ludzie, którzy swoją pychę pokładają w majątku i nieopatrznie dają się pociągnąć pokusom zbytku. Najpierw uważanie bogactwa za osobistą zaletę jest śmiesznością, błędem i naiwną pomyłką co do wartości istotnej powłoki i wnętrza. Nie będę długo rozwodził się nad tą kwestyą—zbyt jest bolesną. A jednak, czyż można powstrzymać się, aby nie powiedzieć zainteresowanym: strzeżcie się, nie łączcie tego, co posiadacie, z tem, czem jesteście. Poznajcie głębiej blaski światowe i zrozumiejcie ich nędzę moralną. Pycha zastawia nam zasadzki i sidła śmieszne. Wystrzegajmy się jej, bo ona nas czyni nienawistnymi bliźnim i pozbawionym i trzeźwego sądu.

Człowiek, którego bogactwo przejmuje zarozumiałością i pychą, zapomina zkądinąd, najważniejszej rzeczy, że posiadanie nakłada obowiązki społeczne. Zapewne, własność indywidualna jest równie prawomocną, jak istnienie jednostki i jak jej swoboda.

Te dwie rzeczy są nierozłączne i można nazwać utopią, brzemienną niebezpieczeństwami, napadanie na tak pierwiastkowe podstawy wszelkiego życia lecz jednostka związana jest ze społeczeństwem każdą fibrą swoją i wszystko, co czyni, czynić powinna z uwagą na ogół zwróconą. Posiadanie jest zatem mniej przywilejem, z którego chlubić się należy, niż ciężarem, dającym odczuwać swoją wagę. Jak wszelką działalność społeczną poprzedza praktyka, niekiedy uciążliwa, tak również używanie bogactwa powinno być poprzedzone odpowiedniem przygotowaniem. Umiejętność posiadania jest sztuką nie najłatwiejszą. Nie każdy człowiek umie być bogatym. W rękach zbyt dużej liczby ludzi bogactwo, podług jowialnego, a groźnego porównania Lutra, przypomina harfę w pazurach osła. Nie mają najmniejszego pojęcia, jak się z niem obejść.

To też spotykając człowieka bogatego a prostego jednocześnie, to jest uważającego bogactwo jako środek dopełnienia posłannictwa na ziemi należy schylić przed nim czoło, bo niezawodnie jest prawdziwym człowiekiem. Przebył doświadczenia, zwyciężył przeszkody, odniósł tryumf nad przeszkodami. Nie porównywa zawartości swej sakiewki z zawartością umysłu i serca i nie cyframi szacuje swych bliźnich. Wyjątkowe stanowisko nie tylko go nie wywyższa, lecz przeciwnie upokarza ponieważ czuje dobrze, ile mu brakuje, aby mógł stanąć na wyżsokości zadania. Pozostał człowiekiem, oto wszystko; jest uczynnym, ofiarnym; majątek nie odsuwa go od reszty ludzi, lecz przeciwnie, zbliża do nich bardzo. Oceniają go wszyscy, którzy nie są pozbawieni poczucia sprawiedliwości, pomimo, że opinię bogaczów popsuli ludzie egoistyczni i pyszni. Każdy, zbliżając się do niego, patrząc na jego życie, zastanawia się nad sobą i pyta: co byłoby się stało ze mną w położeniu podobnem? Czy miałbym tę skromność, tę ofiarność, tę szlachetność, czy umiałbym używać swego majątku tak, jakby był własnością cudzą? O ile będzie istniał świat i społeczeństwo ludzkie, o ile cierpkie starcia materyalne szarpać będą ludzkością, o ile zazdrość i egoizm nie przestaną panoszyć się na ziemi, zawsze bogactwo, owiane duchem prostoty, budzić będzie szacunek; nietylko szacunek, ale wybaczenie istnienia; nietylko wybaczenie, ale nawet miłość.

Pycha, wywołana bogactwem, jest mniej szkodliwą od pychy rozbudzonej potęgą, a przez potęgę rozumiem wszelką władzę człowieka nad człowiekiem, władzę tak ograniczoną, jak nieograniczoną. Niema sposobu uniknięcia, aby w świecie nie było ludzi nierównie potężnych. We wszelkiej organizacyi hierarchia sił istnieć musi. Lecz jeżeli zamiłowanie władzy jest bardzo rozpowszechnionem, ducha władzy znaleźć trudno. Wskutek złego pojmowania i używania tego ducha, prawie zawsze ludzie kompromitują powierzoną sobie władzę.

Władza wywiera wpływ niesłychanie wielki na człowieka, który ją piastuje, tak że musi on mieć głowę bardzo silną, aby jej ta władza nie zawróciła. Osłabienie, ogarniające cesarzów rzymskich w epoce ich wszechmocy, jest chorobą powszechną, której symptomaty istniały po wsze czasy. W każdym człowieku drzemie tyran i czeka sposobności, aby się rozbudzić. Otóż tyran jest najgorszym wrogiem władzy—podaje nam jej nieznośną karykaturę. Ztąd niezliczone komplikacye społeczne, nienawiści, starcia.

Wszelki człowiek, mówiący do drugich, zależnych od niego: „róbcie to, ponieważ taka jest moja

wola“ albo lepiej jeszcze, „taka jest moja fantazya“, źle czyni. W każdym z nas tkwi coś, co nas zniewala do oporu władzy osobistej i temu czemuś nie można odmówić szacunku. W głębi rzeczy wszyscy jesteśmy równi; nikt nie ma prawa narzucać mi posłuszeństwa dlatego tylko, że on jest nim, a ja jestem mną — rozkaz taki upadla mnie, a upadlanie siebie nie jest dozwolonem.

Trzeba było żyć w szkołach, w warsztatach, w wojsku, w administracyi, zwracać pilnie uwagę na stosunek panów do służby, badać przewagę człowieka nad człowiekiem, aby nabrać pojęcia o złych skutkach, stosowania władzy z arogancyą. Złe stosowanie władzy czyni z duszy wolnej, duszę niewolniczą, duszę pełną buntu, a szczególniej zgubnem i antyspołecznem jest wówczas, kiedy ten, który rozkazuje, jest zbliżonym dolą do tego, który słucha. Najbardziej nieubłaganym tyranem jest tyran na małą skalę. Majster w warsztacie, podmajstrzy nawet z większem okrucieństwem nieraz postępuje, niż dyrektor fabryki ze swymi podwładnymi. Kapral bywa sroższym dla żołnierza niż pułkownik. W niektórych domach, gdzie pani domu niewiele lepsze posiada wychowanie od swej służącej, stosunek wzajemny tych dwóch istot, pod jednym dachem żyjących, przypomina stosunek więźnia do dozorcy twierdzy. Biada każdemu, kto wpada w ręce zwierzchnika, pijanego swą władzą.

Pokora jest pierwszym obowiązkiem każdego piastującego władzę. Pycha powinna być daleką od władzy. My nie jesteśmy prawem. Prawo jest ponad wszystkiemi głowami. My tłómaczymy prawo, lecz aby mu nadać cenę w oczach innych, potrzeba przedewszystkiem, abyśmy sami uległymi mu byli. Rozkazywanie i posłuszeństwo w społeczeństwie ludzkiem są dwiema postaciami jednej i tej samej cnoty—dobrowolnego ulegania. Po większej części

nie słuchają was dlatego, że wy nie słuchaliście pierwej.

Tajemnica wpływu moralnego należy do tych, którzy umieją rozkazywać z prostotą, umieją łagodzić ostrość czynu. Władza ich nie spoczywa ani w galonach, ani w tytułach, ani w przepisach karnych. Nie używają ani batoga, ani groźby, a jednak otrzymują wszystko. Dlaczego? Dlatego, że oni sami są gotowi na wszystko i wszyscy to odczuwają. Człowiek ma prawo żądać od drugiego ofiary czasu, pieniędzy, upodobań, namiętności wówczas, gdy sam zdecydowany jest na te ofiary, jeżeli wewnętrznie uczynił je poprzednio. W rozkazie człowieka, ożywionego tym duchem spoczywa jakaś potęga wielka, która udziela się innym i skłania tych innych do posłuszeństwa i do spełnienia nałożonego obowiązku.

We wszystkich dziedzinach działalności ludzkiej są wodzowie, którzy podtrzymują, budzą natchnienie, elektryzują żołnierzy swoich: pod ich kierunkiem te zastępy rycerzy zdolne są do cudów; zdolne są do nieludzkich wysiłków, gotowe iść w ogień, jak to ludzie prości mówią, iść w ogień z zapałem!

———

Obok pychy wielkich jest pycha maluczkich, a jedna i druga z jednego źródła płyną. Człowiek, który mówi: prawo to ja, nietylko jest zwierzchnikiem wyniosłym, pysznym, wywołującym bunt samą swoją postawą, ale jest nadto władcą, nie uznającym żadnej nad sobą władzy.

Istnieje duża liczba ludzi, których wszelka wyższość drażni. Dla nich rada jest obrazą, krytyka obelgą, rozkaz zamachem na wolnośś. Uznawać cośkolwiek lub kogośkolwiek wydaje się im zbocze-

niem umysłowem. Mówią na swój sposób: po za nami niema miejsca dla nikogo.

Do szeregu pysznych należy również zaliczyć ludzi drażliwych i podejrzliwych niepomiernie, którzy będąc na stanowisku skromnem, znajdują zawsze, że ich zwierzchnicy nie zachowują się w nich z należytemi względami, których najlepszy i najbardziej ludzki człowiek nie zdoła nigdy zadowolić, którzy spełniają obowiązki z minami ofiar. U tych ludzi gra przedewszystkiem rolę źle umieszczona miłość własna. Nie umieją spełniać swych obowiązków z prostotą, utrudniają swoje życie i cudze, śmiesznemi wymaganiami i niesłusznemi podejrzeniami.

Badając ludzi zblizka, ze zdumieniem stwierdzamy, jak bardzo pycha rozpanoszona jest pomiędzy ludźmi, noszącymi miano pokornych. Tak wielką jest potęga tego występku, że dochodzi do wzniesienia wokoło ludzi, żyjących w najskromniejszych warunkach wysokiego muru, odgraniczającego ich od reszty bliźnich. Za tym murem kryją się odosobnieni, zabarykadowani ambicyami i pogardą, równie niedostępni, jak wielcy tej ziemi, wśród swoich arystokratycznych przesądów. Błyszcząca, czy ciemna pycha niesie sztandar nieprzyjacielski rodzaju ludzkiego, zawsze jednakowa w nędzy i na wyżynach, samotna i słaba, nieufna do wszystkich, komplikująca wszystko. Zawsze będziemy to samo powtarzać, że jeżeli między różnemi klasami społecznemi istnieje tyle nienawiści i nieprzyjaźni, to zawdzięczamy to więcej czynnikom wewnętrznym, aniżeli zewnętrznym okolicznościom. Antagonizm interesów i kontrast położeń stwierdzają rozpadliny pomiędzy nami; temu nikt nie zaprzeczy; pycha wszakże zamienia te rozpadliny na przepaście i z głębi tych przepaści woła na obydwa brzegi: niema nic wspólnego pomiędzy nami.

Nie odmalowaliśmy jeszcze należycie pychy, lecz jest niepodobieństwem uplastyczniać wszystkie jej postacie. Najpoważniejszym zarzutem, jaki jej czynię, jest, że miesza się do wiedzy i że ją wyjaławia. Wiedzę, zarówno jak bogactwo i potęgę, zawdzięczamy naszym bliźnim.

Jest to siła społeczna, która służyć powinna, a ona służyć nie może, jeżeli ludzie oświeceni nie zbliżają się sercem do nieoświeconych. Kiedy wiedza zamienia się w narzędzie ambicyi, przynosi sama sobie szkodę.

Cóż powiedzieć o pysze szlachetnych ludzi? Ona istnieje i czyni cnotę nawet wstrętną.

Sprawiedliwy, który odczuwa skruchę, wskutek zła, popełnianego przez innych, nie uchybia solidarności i prawdzie społecznej. Przeciwnie sprawiedliwy, pogardzający innymi za ich winy i błędy, odsuwa się od ludzkości. a jego zalety zniżone do poziomu bezcelowej ornamentacyi próżności, stają się podobne do bogactw nieożywionych dobrocią, do władzy nie miarkowanej duchem posłuszeństwa. Cnota wyniosła jest równie antypatyczną, jako bogactwo pyszne, jak władza arogancka. Nadaje ona człowiekowi znamiona i postawę, objawiające coś niemal wyzywającego. Jej przykład nie pociąga, lecz oddala, a ci, których raczy zaszczycać swemi dobrodziejstwami, czują się jakby policzkowani.

Zakończmy wreszcie.

Błędnem jest mniemanie, że nasze dobytki jakiegokolwiekbądź rodzaju powinny być oddane na usługę próżności. Każdy z tych dobytków stanowi dla człowieka posiadającego go dług i zobowiązanie, nie zasadę do chwały. Dobra materyalne, władza, wiedza, zalety serca i umysłu, stają się czynnikami niezgody, jeżeli służą tylko do zasilania pychy M. a być dobroczynnemi wówczas, kiedy są dla tych, którzy je posiadają, przedmiotami skromności.

Bądźmy pokornymi, jeżeli mamy duży majątek, bo on dowodzi, że jesteśmy dłużnikami; wszystko, co człowiek posiada, zawdzięcza komuś, a czy jesteśmy pewni, że zdołamy spłacić nasze długi?

Bądźmy pokornymi, jeżeli spoczywają na nas wysokie zadania, jeżeli dzierżymy w naszych ręku dolę cudzą, bo niepodobna, aby człowiek trzeźwo patrzący nie odczuwał, że przyjdzie mu z trudem spełnić dobrze obowiązek poważny.

Bądźmy pokornymi, jeżeli posiadamy dużo wiadomości, ponieważ one posłużą do skonstatowania bezkresu nieznanego, do porównania naszej atomowej pracy wynalazczej z działalnością, trudami i odkryciami drugich.

Wreszcie, bądźmy pokornymi, jeżeli szczycimy się cnotą, ponieważ nikt nie może lepiej odczuwac swoich błędów, jak człowiek z sumieniem bardzo wyrobionem, i nikt nie może bardziej od takiego człowieka uznawać potrzeby pobłażliwości dla drugich i bardziej cierpieć nad złem, jakie ci inni popełniają.

A cóż robić z odznaczeniami niezbędnemi? powiecie może. Czyż to prostota nie zniesie poczucia różnic, niezbędnych w dobrze funkcyonującem społeczeństwie?

Nie uznaję potrzeby kasowania różnic, stopni, odznaczeń, hierarchii. Mam przekonanie, że to, co odznacza człowieka, spoczywa nie w stopniach, nie w urzędach, nie w mundurach, nie w majątkach, ale w nim samym. Więcej niż kiedykolwiek nasza epoka dowiodła próżności odznaczeń czysto zewnętrznych. Aby mieć znaczenie czyż wystarcza płaszcz cesarski i królewskie berło, czy wystarczają galony, ordery i wstęgi? Zapewne, odznaczenia zewnętrzne

nie są naganne, mają wartość i mają pożytek, lecz pod warunkiem, że pokrywają coś cennego, nie zaś tylko próżnię. Z chwilą, kiedy przestają odpowiadać czemuś, stają się niepożytecznemi i niebezpiecznemi. Najlepszym sposobem odznaczenia się jest posiadanie wysokiej wartości. Jeżeli chcemy, aby odznaczenia społeczne tak potrzebne szanowne same przez siebie, były istotnie szanowane, powinniśmy na nie zasługiwać istotnie. Inaczej ściągamy na nie wzgardę i nienawiść. Niestety, jest rzeczą zbyt pewną, że szacunek niknie między nami, lecz nie należy obwiniać o to odznaczenia, znamionujące to, co wymaga poszanowania. Przyczyna zła tkwi w przesądzie, że wysokie stanowisko uwalnia od spełniania zwykłych obowiązków życia. Zdaje nam się, że wzniesienie w hierarchii społecznej wyzwala z pod prawa, podczas kiedy przeciwnie, duch posłuszeństwa i prostoty wzmagać się powinien w miarę tego wzniesienia. Z tego wynika, że ci, którzy najwięcej wymagają szacunku dla swych godności, najmniej dokładają usiłowań, aby na ten szacunek zasłużyć. Tym sposobem szacunek znika.

Jedyne wyróżnienie potrzebne, to wyróżnienie, polegające na usiłowaniu dążenia do doskonałości. Człowiek usiłujący być lepszym, staje się pokorniejszym, przystępniejszym, więcej poufałym, nawet z tymi, którzy niżej stoją od niego. Ponieważ jednak zyskuje na bliższem poznaniu, hierarchia nic na tem nie traci, a on siejąc mniej pychy, zbiera więcej poszanowania.

XIII.

WYCHOWANIE I PROSTOTA.

Ponieważ prostota w życiu jest płodem pewnego umysłowego kierunku, wychowanie musi posiadać w tej dziedzinie duże wpływy.

Istnieją dwa sposoby wychowywania dzieci:

Pierwszy polega na wychowaniu dzieci dla siebie; drugi na wychowaniu dzieci dla nich samych.

W pierwszym wypadku dziecko uważane jest jako dodatek do rodziców. Stauowi cząstkę ich mienia, zajmujə miejsce między przedmiotami, jakie posiadają. To miejsce jest najwybitniejsze, jeżeli rodzice cenią przedewszystkiem życie uczuciowe; schodzi na plan drugi, trzeci, a często ostatni wówczas, kiedy materyalne względy biorą górę. W żadnym wypadku dziecko nie jest indywidualnością. Maleństwem, nie rozłącza się z rodzicami, nietylko przez posłuszeństwo, co jest sprawiedliwem, ale przez poddawanie im wszystkich swych inicyatyw i całej swej istoty. W miarę posuwania się w lata, to

poddawanie się wzmaga, następuje konfiskata, rozszerzona do idei, uczuć, wszystkiego. Niższość dziecka trwa dalej. W miejsce dążenia ku niepodległości, człowiek brnie w niewolnictwie. Jest takim, jakim mu wolno być, jakim stosunki handlowe, czy przemysłowe ojca, jego wierzenia religijne, opinie polityczne, pojęcia estetyczne, wymagają, aby został. Będzie mówił, myślał, działał, żenił się, powiększał rodzinę w pojęciu i ograniczeniu absolutyzmu rodzicielskiego. Ten absolutyzm rodzinny może być stosowany przez ludzi nie mających żadnej woli; wystarcza, aby byli przekonani, że naturalny porządek rzeczy czyni z dziecka „rzecz“ rodziców“. W braku energii opanują je innemi sposobami, błaganiami, nizkiemi pokusami. Jeżeli nie są w stanie go ujarzmić, wezmą na lep, pociągną w sidła. Lecz ono żyć będzie w nich, przez nich, dla nich i tak być musi.

Ten rodzaj wychowania stosowany jest nietylko w rodzinie, lecz również w wielkich organizmach społecznych, których główne zadanie wychowawcze polega na opanowaniu swych nowobrańców i zamknięciu ich, nieprzepartym sposobem, w istniejących już ramach. Jest to ujarzmienie, zdruzgotanie i pogrążenie jednostki w ciele społecznem, czy to ciało będzie teokratyczne, komunistyczne, czy też poprostu biurokratyczne i wyrutynowane. Z pozoru sądząc, podobny system zdawałby się być wychowaniem prostem *par excellence*. Jego procedery są bezwzględnie uproszczone. Gdyby człowiek nie był wybitną indywidualnością, lecz jedynie członkiem, okazem rasy, możnaby nazwać to wychowanie doskonałem. Podobnie jak wszystkie zwierzęta dzikie, wszystkie ryby i wszystkiu owady, jednego rodzaju i jednego gatunku, mają jednę cechę, podobnie my wszyscy bylibyśmy identycznie jednakowi, z jednemi gustami, jednym językiem, jednemi wierzeniami

i jednemi dążnościami. Lecz człowiek nie jest tylko okazem rasy i dlatego ten rodzaj wychowania dalekim można nazwać od prostoty w swych skutkach. Ludzie różnią się tak bardzo między sobą, że należy wymyślać niezliczone sposoby dla tłumienia, usypiania i gaszenia myśli indywidualnej. Do tego dochodzi się tylko częściowo, co psuje wiecznie wszystko. Każdej chwili, przez jakąś szczelinę, wewnętrzna siła inicyatywy przebija się na światło dzienne gwałtownie i wywołuje eksplozyę, wstrząśnienia, zaburzenia poważne. Tam, gdzie wybuchy nie następują, gdzie siła zewnętrzna bierze górę, zło tkwi w głębi. Pod pozornym porządkiem kryją się bunty głuche, zboczenia nabyte w istnieniu anormalnem, apatya, śmierć.

Należy nazwać złym system, wywołujący podobne owoce, a chociaż wydaje się prostym, w istocie rzeczy stwarza wszystkie komplikacye.

Drugi system na przeciwnym stoi biegunie. Polega na wychowaniu dzieci dla nich samych. Role są zmienione: rodzice istnieją dla dziecka. Zaledwie na świat przyjdzie, staje się wszystkiem. Siwa głowa dziada i silna głowa ojca skłaniają się przed małą głowiną w lokach. Szczebiot dziecięcia jest prawem, wola rozkazem. Niechaj w nocy zakrzyczy w kołysce, niema trudu, któregoby nie podjęto, cały dom jest poruszony. Mały przybysz spostrzega wkrótce, że posiada wszechpotęgę—nie umie chodzić, a już się czuje upojony władzą. Rośnie i te przekonania wraz z nim rosną. Rodziców, dziadków, służbę, profesorów, cały świat ma na swoje rozkazy. Przyjmuje hołdy i ofiary bliźnich; nie zwraca uwagi na tych, którzy mu nie schlebiają. Siebie tylko widzi. Jest jedynym, doskonałym,

nieomylnym. Spostrzeżono zbyt późno, że stworzono władcę—i jakiego władcę! niepomnego ofiar, bez poszanowania, bez miłosierdzia nawet. Nie dba o tych, którym zawdzięcza wszystko, i idzie przez życie bez prawa i wędzidła.

Tego rodzaju wychowanie ma także swoją formę społeczną. Wszędzie kwitnie, gdzie przeszłość się nie liczy, gdzie historya zaczyna się z żyjącymi, gdzie niema tradycyi, karności i szacunku, gdzie ci, którzy nic nie umieją, mają wysokie znaczenie, gdzie przedstawiciele porządku publicznego oddają pierwszeństwo każdemu, którego siła polega na głośnem krzyczeniu i lekceważeniu wszystkich. Takie wychowanie zapewnia władzę namiętnościom znikomym, tryumf nizkiemu despotyzmowi. Porównywam te dwa wychowania, z których jedno jest apoteozą środowiska, drugie apoteozą jednostki; jedno absolutyzmem tradycyi, drugie tyranią wszystkiego, co świeże, a jedno i drugie znajduje zgubniejszem jedno od drugiego...

Nie należy wychowywać dzieci ani dla nich samych, ani dla rodziców—należy je wychowywać dla życia. Wychowanie powinno czynić z dzieci dzielnych członków ludzkości, potęgi bliźnie, wolne sługi ojczyzny. Wychowanie innym duchem natchnione, komplikuje, utrudnia życie, wynaturza, sieje ziarna niezgody i nieładu.

Chcąc jednym wyrazem streścić przeznaczenie dziecka, wyraz „przyszłość“ nasuwa się na usta. Dziecko—to „przyszłość“. Ten wyraz obejmuje wszystko: trudy minione, usiłowania obecne, nadzieje żywe. Doniosłości tego wyrazu dziecko nie jest w stanie pojąć w chwili, w której wychowanie się zaczyna. W owej chwili oddane jest niepodzielnie wszechpotędze wrażeń aktualnych. Kto mu udzieli pierwszych wyjaśnień, kto go wprowadzi na drogę właściwą? Rodzice, wychowawcy. O ile jednak się

zastanowią, czują, że ich działalność dotyczy nietylko ich samych i dziecka, że dzierżą władzę nieosobistą, że administrują sprawami nieosobistemi. Dziecko powinno przedstawiać im się stale, jako przyszły obywatel kraju. Pod wpływem tego przekonania będą mieli dwa zadania, dopełniające się wzajemnie: wyrobienie potęgi indywidualnej, potęgi inicyatywy, która tkwi w ich dziecku i rozwijać się musi — oraz zastosowanie społeczne tej potęgi. W każdej chwili oddziaływania na tę małą istotę nie będą w stanie zapomnieć, że ona powierzona była ich pieczy, że ma stać się „sobą" i „braterską". Te dwa warunki, zamiast się wyłączać, złączone są zawsze w nierozerwalnym związku. Niepodobna być braterskim, niepodobna kochać, poświącać się, nie będąc panem samego siebie; odwrotnie, nikt nie może być panem siebie, nie może pochwycić najznamienniejszych swoich rysów, jeżeli z pomiędzy powierzchownych wydarzeń istnienia nie zstąpił do głębokich źródeł istoty, do tych źródeł, w których człowiek najtajniejszem swojem „ja", czuje się związanym z drugim człowiekiem.

Aby dopomódz dziecku w zostaniu samym sobą, a jednocześnie braterskiem, należy je bronić od gwałtownej i zgubnej działalności sił rozkładowych.

Te siły są dwojakie: zewnętrzne i wewnętrzne. Każdy zagrożony jest na zewnątrz — nietylko niebezpieczeństwami materyalnemi, lecz gwałtowną napaścią obcych sił; wewnątrz — przesadzonem poczuciem swego „ja" i wszystkiemi fantazyami, przez to poczucie zrodzonemi. Bardzo wielkiem jest niebezpieczeństwo zewnętrzne, wypływające z nadużywanego wpływu wychowawców. Prawo mocniejszego wdziera się do wychowania z nadzwyczajną łatwością. Chcąc prowadzić wychowanie, potrzeba wyrzec się tego prawa, potrzeba pozbyć się niższych uczuć naszej istoty, czyniących z nas wrogów innych

ludzi, nawet naszych dzieci. Nasza władza jest dobrą, jeżeli płynie z drugiej władzy, wyższej od nas samych. W tym wypadku nietylko jest zbawienną, ale i niezbędną; i staje się ze swej strony najlepszem zabezpieczeniem przeciw największemu niebezpieczeństwu wewnętrznemu, grożącemu komuś: przesadzaniu własnego swego znaczenia. W zaraniu życia żywość wrażeń osobistych jest tak wielką, że dla zaprowadzenia równowagi należy ją poddać uspakajającemu wpływowi woli łagodnej a wyższej. Właściwością zadania wychowawczego jest narzucenie dziecku tej siły w sposób stały a możliwie bezinteresowny. Wówczas misya wychowawcza staje się najpodnioślejszą w świecie. Wówczas wychowawcy dają tej istocie wchodzącej w życie wrażenie czegoś, co ją wyprzedza, otacza, spowija, ale nie gniecie; przeciwnie, ich wola i wszystkie ich wpływy stają się odżywczemi pierwiastkami jej własnej energii. Stosować w ten sposób wpływ, to urabiać posłuszeństwo owocodajne, posłuszeństwo, z którego wyrastają charaktery wolne. Władza czysto osobista rodziców, mistrzów, instytucyi, jest dla dziecka tem, czem dla młodej rośliny mgły i opary, w których gaśnie i zamiera. Władza nieosobista, blada, należąca do człowieka, który sam poddał się najpierw prawdom podniosłym, wobec których chce nagiąć indywidualną fantazyę dziecka — przypomina atmosferę czystą i świetlaną. Taka władza jest niezaprzeczenie czynną, wpływa na swój sposób, ale zasila i utrwala nasze zycie własne. Bez uiej niema wychowania. Pilnować, kierować, opierać się — oto zadanie wychowawcy; powinien przedstawiać się uczniowi nie jako fantastyczna baryera, którą przeskoczyć można przy rozmachu odpowiednim do jej wysokości, lecz jako zasłona przezrocza, po za którą widnieją niewzruszone prawdy prawa, granice, przeciw którym nic zdziałać nie można. Tym sposo-

bem powstaje szacunek, będący w każdym człowieku zdolnością pojmowania tego, co jest wyższem od niego samego, szacunek, który wszczepiając skromność, podnosi nas i wyzwala. Oto wychowanie w duchu prostoty. Można je streścić w tych słowach: urabiać ludzi, którzy umieją być samymi sobą, nie będąc pozbawionymi uczuć braterskich.

Wyciągnijmy z tej zasady kilka zastosowań praktycznych.

Ponieważ dziecko jest przyszłością, należy rozbudzić w niem miłość do przeszłości, należy tradycyę przyoblec mu w formy najpraktyczniejsze, najbardziej zdolne do wywołania silnego wrażenia. Ztąd wyjątkowe stanowisko, jakie zajmować powinny w wychowaniu rzeczy stare, kult przeszłości — historya ogniska domowego. Względem dzieci szczególniej spełniamy obowiązek, jeżeli pod każdym względem rodzicom i dziadom naszym cześć oddajemy. Nic nie może przemawiać z równą siłą do dziecka, rozwijać w niem uczucia skromności, jak widok ojca i matki zachowujących się z czcią i uszanowaniem względem starego dziadka, kaleki lub niedołężnego. To wieczysta nauka rzeczy, nauka, której się oprzeć trudno. Dla nadania jej siły całkowitej potrzeba, aby w domu niemy układ panował pomiędzy wszystkiemi osobami dorosłemi, które w oczach dziecka wszystkie solidaryzują się z sobą, wszystkie rozumieją się i szanują wzajemnie, gdyż inaczej kompromitowałyby władzę wychowawczą. Do rzędu tych osób należy zaliczyć i służbę. Służący jest dorosłą osobą i dziecko z takim samym szacunkiem zwracać się powinno do służącego, jak do ojca lub dziada. Jeżeli odzywa się w sposób niegrzeczny, czy arogancki do osoby starszej, zbacza z drogi, jaką kroczyć powinno, tak, że o ile rodzice na właściwe tory dziecięcia nie wprowadzą, spostrzegą po jego zachowaniu względem nich samych, że nieprzyjaciel zakradł się do młodego serduszka.

Mylnem bywa twierdzenie, że dziecko z natury nie uznaje szacunku, twierdzenie poparte licznemi przykładami wybryków, spostrzeganych wśród młodzieży. W głębi rzeczy szacunek jest potrzebą dla dziecka, jest odżywczym pierwiastkiem jego istoty moralnej. Dziecko potrzebuje szanować i podziwiać cośkolwiek. Jeżeli ta potrzeba nie jest brana w rachubę, słabnie ona i znika. Brakiem skupienia i wyrozumienia wzajemnego my, dorośli, dyskredytujemy codziennie w oczach dziecka naszą własną sprawę i sprawę wszelkich rzeczy stanowczych—wszczepiamy złego ducha, którego skutki przeciwko nam później się obracają.

Ta smutna prawda nigdzie z równą siłą nie występuje, jak w stosunkach między panem a służbą, taką służbą, jakąśmy stworzyli. Nasze błędy społeczne, nasz brak prostoty, brak dobroci spadają na głowy naszych dzieci. Mało zapewne ludzi rozumie, że lepiej stracić kilka tysięcy franków, aniżeli dać stracić dzieciom szacunek dla służby, przedstawiającej w naszych domach kategoryę maluczkich. Jednak to prawda. Utrzymujcie, o ile zechcecie, konwenanse i przedziały, ten rodzaj zaznaczenia granic społecznych, pozwalającego każdemu nie opuszczać swego stanowiska i strzedz hierarchii. To rzecz dobra, jestem przekonany, lecz pod warunkiem niezapominania, że ci, którzy nam służą, są ludźmi, na tej samej zasadzie jak my. Nakazujecie służbie formułki zachowania się i wyrażania, zewnętrzne oznaki szacunku, jaki się wam od niej należy. Czyż jednak postępujecie z nią i czy uczycie postępować dzieci w sposób, dający poznać służbie, że szanujecie jej godność osobistą w takiej

mierze, w jakiej wy jej od niej wymagacie? Macie przed sobą w każdej chwili znakomite pole do nauki dla wciągnięcia się w praktykowanie wzajemnego szacunku, będącego jednym z zasadniczych warunków zdrowia społecznego. Zdaje mi się, że wyzyskanem jest ono bardzo mało. Żądacie szacunku, a nie stosujecie go. To też otrzymujecie najczęściej fałsz i obłudę, a jako rezultat dodatkowy, nieprzewidziany, widzicie rozwijanie się pychy w waszych dzieciach. Te dwa połączone czynniki napełniają poważnemi trudnościami przyszłość, którą wy urabiać macie. Słusznie więc twierdzę, że ponieśliście dotkliwą stratę w dniu, w którym zachowaniem, czy zwyczajami waszemi wywołaliście zmniejszenie szacunku.

Dlaczegoż miałbym tego nie powiedzieć? Zdaje mi się, że większa część z nas pracuje nad tem zmniejszeniem. Wszędzie i prawie we wszystkich klasach społecznych spostrzegam podtrzymywanie złego ducha w dzieciach, ducha pogardy wzajemnej. Tutaj pogarda dla wszystkich, którzy mają ręce spracowane i zniszczone ubranie; tam pogarda dla nieutytułowanych; gdzieindziej dla bogatych i tak dalej — a dzieci, wychowane w tym duchu, smutnymi współobywatelami będą kiedyś. We wszystkiem brakuje prostoty, sprawiającej, że ludzie dobrej woli, na różnych stopniach społecznych, mogą pracować razem, nie krępując się rozdzielającemi ich stosunkami hierarchicznemi.

Duch jakiegokolwiekbądź stronnictwa wypiera szacunek, zarówno jak duch kastowy. W niektórych środowiskach dzieci wychowane są w ten sposób, że uznają jednę tylko ojczyznę—swoją własną, jednę politykę—politykę ojców i dziadów, jednę religię — tę, która im była wpojona! Czyż można wówczas się spodziewać, że z tych dzieci wyrosną ludzie, szanujący ojczyznę, religię i prawo? Czyż

właściwym jest szacunek, skierowany do tego, co nas dotyczy i co do nas należy? Dziwne zaślepienie klik i koteryi, przypisujących sobie łaskawie miano szkół poszanowania, a w gruncie rzeczy, po za sobą nie szanujących nikogo—i w głębi duszy wołających: ojczyzna, religia, prawo, to my! Podobne nauczanie zradza fanatyzm. Otóż jeżeli nie nazwiemy fanatyzmu jedynym fermentem antyspołecznym, niezawodnie jest on jednym z najgorszych i najenergiczniejszych.

Jeżeli prostota serca jest zasadniczym warunkiem szacunku, prostotę życia należy uważać za najlepszą jego szkołę. Bez względu na położenie majątkowe, unikajcie wszystkiego, co może w nasze dzieci wpoić przekonanie, że mają większe od innych znaczenie. Chociażby zamożność wasza pozwoliła wam stroić dzieci, nie czyńcie tego, pomni szkody, jaką im przynosicie, podniecając ich próżność. Nie wpajajcie w nich wiary, że strój wystarcza, aby posiadać dystynkcyę, nadewszystko nie powiększajcie dobrowolnie — ich ubraniem i ich przyzwyczajeniami — przepaści, oddzielającej ich już od bliźnich. Ubierajcie skromnie wasze dzieci. Gdyby potrzeba było wysiłków oszczędności, dla dostarczenia waszym dzieciom zadowolenia z eleganckiego stroju, zachowujcie na lepszą sprawę waszą ofiarować. Mogłaby ona z łatwością być źle odpłaconą. Siejecie pieniądze wówczas, kiedy należałoby oszczędzać je na potrzeby poważniejsze; niewdzięczne żniwo zbierać będziecie. Jakże to niebezpiecznie przyzwyczajać waszych synów i wasze córki, do rodzaju życia, przewyższającego wasze i ich środki! Najpierw przynosi to krzywdę kieszeni; następnie rozwija ducha pogardy w samem łonie rodziny. Jeżeli ubieracie wasze dzieci po magnacku i pozwalacie im nabierać przekonania o wyższości nad wami, cóż dziwnego,

że później lekceważyć was będą! Wykolejacie je sami.

Istnieje pewien rodzaj kształcenia dzieci, prowadzący najwidoczniej do rozwijania w nich pogardy dla rodziców, środowiska, obyczajów i trudów, wśród których wzrośli. Takie kształcenie to plaga. Wywołuje ono legion niezadowolonych, oddzielonych sercem od pnia rodzimego, od powinowatych i krewnych, od wszystkiego, słowem, co stanowi pierwszą podstawę człowieka! Odłączeni od silnego drzewa, które ich wydało, miotani są po świecie wichurą rozszalałej ambicyi, podobni do liści suchych i zwiędłych, nagromadzonych w różnych miejscach, gdzie fermentują i gniją jedne na drugich.

Natura rozwija się nie podskokami gwałtownemi, lecz ewolucyą powolną i pewną. Naśladujmy ją w przygotowaniu karyery naszym dzieciom. Nie wychowujmy dzieci w ten sposób, aby gardziły pracą—dążeniami i duchem prostoty rodzicielskiego domu; nie narażajmy ich na złą pokusę wstydzenia się naszego ubóstwa, jeżeli kiedykolwiek dojdą do majątku. Społeczeństwo jest chore wówczas, kiedy synowie wieśniaków brzydzą się polem, synowie marynarzy dezertują z morza, córki robotników, chcąc uchodzić za bogate dziedziczki, wolą w podejrzanym stroju włóczyć się po ulicy, aniżeli iść pod rękę z ojcem. W społeczeństwie zdrowem każdy z członków usiłuje robić mniej więcej to, co robili jego rodzice, tylko lepiej, z dążeniem do doskonalenia, zadowalając się skromniejszemi zatrudnieniami i spełniając je sumiennie [1].

[1] Możnaby tu mówić o pracy wogóle, o jej wpływie dodatnim na wychowanie. Ponieważ jednak poruszałem ten przedmiot w innych moich dziełach: *Justice*, *Jeneusse*, *Vaillance*, zatem do nich zwracam czytelnika.

Wychowanie powinno stwarzać ludzi wolnych. Jeżeli pragniecie wolności dla dzieci, wychowujcie je z prostotą, nie lękajcie się tym sposobem szkodzić ich szczęściu. Przeciwnie. Im więcej ma dziecko zbytkownych zabawek, rozrywek, wyszukanych przyjemności, tem mniej się bawi. To nieomylna wskazówka. Bądźmy wstrzemięźliwymi w sposobach zabawiania i rozrywania młodzieży, nie wywołujmy lekkomyślnie potrzeb sztucznych. Pożywienie, ubranie, mieszkanie, rozrywki, niechaj to wszystko będzie możliwie naturalnem i prostem. Chcąc uprzyjemnić życie dzieciom, niektórzy rodzice przyzwyczajają je do próżniactwa i łakomstwa, wywołują podniecenia nieodpowiednie do wieku, prowadzą na wizyty i widowiska. Smutny z tego rezultat. Zamiast człowieka wolnego, wychowujecie niewolnika. Przyzwyczajony do zbytku, zmęczy się nim prędko, a kiedy dla takiej lub innej przyczyny zabraknie mu środków, będzie nieszczęśliwym i wy z nim razem; co gorsza, wszyscy staniecie się może zdolni, w ważnych okolicznościach życia, do poświęcenia godności ludzkiej, prawdy, obowiązku—przez proste jedynie tchórzostwo.

Wychowujmy więc dzieci z prostotą, powiem nawet, z surowością; zachęcajmy je do ćwiczeń wzmacniających, do prywacyi pewnych. Niechaj się raczej nauczą spać na gołej podłodze, znosić trudy rozmaite, aniżeli rozkoszować się wykwintnym stołem i wygodnem łóżkiem. Wówczas zrobimy z nich ludzi niepodległych i silnych, na których liczyć można, którzy się nie sprzedadzą dla względnego dobrobytu i którzy więcej od innych posiądą zdolności odczuwania szczęścia.

Istnienie zbyt łatwe wywołuje pewne wyczerpanie energii życiowej. Człowiek staje się zblazowanym, rozczarowanym, młodym starcem, trudnym do zabawienia czemkolwiek. Iluż młodych ludzi

i ileż dzieci widzimy dzisiaj w tem położeniu! Widzimy ich pokrytych, jakby pleśnią starą, śladami naszej zgrzybiałości, naszego sceptycyzmu, naszych występkow, naszych złych nałogów, których i oni nabrali w naszem towarzystwie. Jakież nieme wyrzuty z łona tej zwiędniętej młodzieży ku nam płyną! Ileż smutnych ostrzeżeń wyrytych na ich czołach!

Kontrastem swoim te cienie nam mówią, że aby być szczęśliwym, należy być prawdziwym człowiekiem, czynnym, energicznym, wyzwolonym z pod jarzma namiętności, potrzeb sztucznych, chorobliwych zachcianek, posiadającym w swem ciele zdolności rozkoszowania się światłością dnia i tchnieniem powietrza—w swem sercu, zdolność umiłowawania i silnego odczuwania wszystkiego, co proste, szlachetne i piękne.

Życie sztuczne zradza myśl sztuczną i mowę nieszczerą. Przyzwyczajenia zdrowe, silne wrażenia, codzienne zetknięcie z rzeczywistością, wywołują, siłą konieczności mowę otwartą i prostą. Kłamstwo jest występkiem niewolniczym, ucieczką zniewieściałych i podłych. Ktokolwiek jest wolnym i silnym, jest również gotowym do walki. Rozwijamy w naszych dzieciach odwagę przekonań! Cóż się dzieje zazwyczaj? Łamią, gnębią charaktery w imię jednolitości, będącej dla szerokiego ogółu synonimem dobrego tonu. Myśleć swoim umysłem, odczuwać swojem sercem, przedstawiać swoje „ja" prawdziwe—przecież to ordynarne i niewłaściwe! — Oh! straszne takie wychowanie, które polega na wiekuistem tłumieniu w każdym z nas jedynej rzeczy, dającej mu prawdziwą racyę bytu. Niezliczone zabójstwa dusz powinniśmy mieć na sumieniu! Jedne zabijane bywają kolbami, drugie łagodnie duszone w puchu! Wszystko występuje przeciwko charakterom niepodległym. Dziećmi, uważają nas za obrazki i lalki; dorosłymi, lubią nas, o ile nie różnimy się od innych — o ile jesteśmy automatami: znając jednego, zna się wszystkich. Dlatego grzeszymy brakiem oryginalności i inicyatywy; dlatego poziomość i monotonia są znamiennemi cechami naszego życia. Prawda nas wyzwoli: uczmy nasze dzieci, aby były sobą, aby prawość stała się dla nich potrzebą; w najważniejszych ich przewinieniach—byle je wyznały—poczytajmy im za zasługę, że umiały być złemi z odkrytem czołem.

Do szczerości dołączmy naiwność w naszej troskliwości wychowawczej. Zachowajmy wszelkie możliwe względy dla tej towarzyszki dziecięctwa, nieco dzikiej, ale tak wdzięcznej i tak dobroczynnej! Nie zrażajmy jej. Jeżeli ucieknie zkądkolwiek, rzadko kiedy powraca. Naiwność nietylko jest siostrą prawdy, strażniczką zalet osobistych każdego — można ją nadto uważać za wielką siłę wychowawczą. Widzę wokoło siebie pełno ludzi, niby pozytywnych, uzbrojonych w szkła powiększające i wielkie nożyce, w celu szperania rzeczy naiwnych i podcinania im skrzydeł. Rugują naiwność z życia, z myśli, z wychowania, prześladują ją nawet w dziedzinie marzeń. Pod pretekstem urabiania dzieci na ludzi, nie pozwalają im być dziećmi, jakgdyby przed nadejściem dojrzałych owoców jesieni — kwiaty, wonie, śpiewy i cały czar wiosny nie miały wartości.

Uwzględniajcie wszystko, co jest naiwnem i prostem — nietylko niewinne figle, nieodłączne od złotych główek dziecięcych, ale także legendy, naiwne pieśni, opowieści ze świata tajemnic i cudów. Poję-

cie cudowności jest w dziecku pierwszą formą pojęcia nieskończoności, bez którego człowiek jest podobnym do ptaka pozbawionego skrzydeł. Nie odłączajmy tej cudowności od dziecka, nie pozbawiajmy go tym sposobem władzy wzniesienia się ponad ziemię i ocenienia później tych pobożnych i wzruszających symbolów minionych wieków, w których prawda ludzka znalazła wyrazy, nie dające się nigdy zastąpić naszą suchą logiką.

XIV.

ZAKOŃCZENIE.

Sądzę, że dostatecznie przedstawiłem ducha i objawy prostoty w życiu — że ujawniłem w niej należycie ów cały zapomniany świat siły i piękna. Ten świat należałby do tych, którzyby zdobyli się na energię zrzucenia złowieszczych balastów, obciążających nasze istnienie. Nie omieszkaliby spostrzedz, że wyrzekając się pewnych powierzchownych zadowoleń, pewnych ambicyi śmiesznych, zdwoili swoją zdolność odczuwania szczęścia i wymierzania sprawiedliwości.

Te rezultaty stosują się zarówno do życia prywatnego, jak do życia publicznego. Niezaprzeczenie, walcząc z gorączkową dążnością błyszczenia, przestając uważać zadowolenie żądz swoich za cel działalności, powracając do upodobań skromnych, do prawdziwego życia, pracowalibyśmy nad utrwaleniem rodziny. Nasze domy tchnęłyby innym duchem, stwarzając nowe zwyczaje i nowe środowisko, odpowiedniejsze dla wychowania dzieci. Stopniow młodzież nasza czułaby się skierowaną ku ideało wznioślejszym i łatwiejszym do urzeczywistnieni To przeobrażenie wewnętrzne wywarłoby z biegie czasu wpływ na ducha publicznego. Podobnie j trwałość muru zależy od gatunku kamieni i od st pnia twardości cementu, tak energia życia publi

nego zależy od wartości indywidualnej obywateli i od potęgi ich skupienia. Wielkiem *desideratem* naszej epoki jest kultura pierwiastku społecznego, to jest jednostki ludzkiej. W dzisiejszej organizacyi społeczeństwa wszystko zwraca się do tego pierwiastku. Zaniedbując go, narażamy się na utratę korzyści postępu, nawet na zwrócenie przeciwko nam najwytrwalszych usiłowań. W maszyneryi stale udoskonalanej, jeżeli się zdarzy pracownik mniejszej wartości, na cóż się przydadzą narzędzia, któremi rozporządza? Zaletami swemi one zdwajają winy tego, który się niemi posługuje nieoględnie i niesumiennie. Ustrój wielkiej machiny nowoczesnej jest nieskończenie delikatny. Zła wola, nieświadomość, zepsucie, wywołać w niej mogą zaburzenia, gorzej i inaczej straszne, niż w organizmie mniej lub więcej nierozwiniętym dawniejszego społeczeństwa. Powinniśmy więc czuwać nad wartością każdej jednostki, powołanej, w jakiejkolwiekbądź mierze, do współudziału w funkcyonowaniu tej machiny — czuwać, aby ta jednostka była jednocześnie stałą i giętką, aby była ożywiona głównem prawem życia: być sobą samym—i bratem dla innych. Wszystko w nas i wkoło nas upraszcza się i łączy pod wpływem tego prawa, które jest jednakowe dla wszystkich i do którego wszyscy powinni stosować swe czyny; zasadnicze bowiem interesy nasze nie są nietylko sprzeczne, ale identyczne. Rozwijając ducha prostoty, doszlibyśmy do nadania życiu publicznemu silniejszego skupienia.

Zjawiska rozkładu i upadku, spostrzegane w życiu publicznem, w jednej przyczynie szukać należy: w braku stałości i braku skupienia. Nie zdołamy nigdy należycie przedstawić, do jakiego stopnia tryumf drobnych interesów kastowych, partyjnych, stronniczych, zawzięta pogoń za dobrobytem osobistym, sprzeciwiają się dobru społecznemu i nieuniknionem następstwem, niweczą szczęście jednostki. Społeczeństwo, w którem każdy zajęty jest tylko dobrobytem indywidualnym, można nazwać zorganizowanym bezładem. Do tego wniosku doprowadzają zażarte starcia naszych nieprzejednanych egoizmów.

Podobni jesteśmy do ludzi, którzy uznają związki rodzinne jedynie dla czerpania z rodziny korzyści, nie zaś dla przynoszenia jej zaszczytu. Na wszystkich stopniach drabiny społecznej widzimy uroszczenia. Wszyscy uważają się za wierzycieli, nikt za dłużnika. Nasze stosunki ze współobywatelami polegają na zachęcaniu ich, w tonie uprzejmym lub aroganckim, do opłacania nam zaciągniętych przez nich długów. Duch tego rodzaju do niczego dobrego nie doprowadzi. W głębi rzeczy jest to duch wyłączności, ten wieczysty wróg prawa ogólnego, ta wieczysta zapora do porozumień braterskich.

W konferencyi, wypowiedzianej 1882 roku, Renan wyraził się, że naród jest „rodziną duchową“; poczem dodał: „Istota narodu spoczywa w tem, aby wszystkie jednostki miały dużo rzeczy wspólnych i aby wszystkie zapomniały o wielu rzeczach“. Należy wiedzieć, o czem powinniśmy pamiętać i co mamy zapominać nietylko z przeszłości naszej, ale z codziennego życia. Wszystko, co rozdziela nas, tkwi w naszej pamięci, to, co nas łączy, z pamięci ucieka. Świetlanym punktem w pamięci człowieka, to poczucie żywe, silne, dodatkowej jego jakości, mianowicie, że jest osobą, rolnikiem, przemysłowcem, literatem, urzędnikiem, proletaryuszem, mieszczaninem, lub wreszcie sekciarzem politycznym, czy religijnym; podstawowy zaś jego przymiot: człowieka prawdziwego i dziecka ojczyzny — spoczywa w cieniu; zaledwie teoretyczne o nim zachowuje wspo-

mnienie. Z tego wynika, że to, co nas zajmuje i kieruje naszemi uczynkami, oddziela nas właśnie od innych, nie pozostawia miejsca dla ducha łączności, będącego właśnie duszą narodu.

Z tego wynika jeszcze, że podtrzymujemy chętnie złe wspomnienia w umysłach naszych bliźnich. Ludzie, podniecani duchem partykularyzmu, wyłączności, wyniosłości, drażnią się wzajemnie. Nie mogą się spotkać, aby nie rozbudzać uczuć rozdźwięku i rywalizacyi. Stopniowo, powoli, nagromadzają w pamięci zapasy wzajemnej złej woli, nieufności, zawiści. Czyż to nie jest zły duch ze wszystkiemi swojemi następstwami?

Należy go rugować z naszego środowiska. „Pamiętaj! — zapominaj!“ — oto, co powinniśmy codziennie powtarzać we wszystkich naszych stosunkach, we wszystkich naszych zatrudnieniach. Pamiętaj o wszystkiem, co zasadnicze, zapominaj tego, co dodatkowe! Jakżeby spełniano dobrze obowiązki obywatela, gdyby wszyscy, na wszystkich szczeblach społecznych, ożywieni byli tym duchem! Jakżeby uprawiano i rozwijano szczęśliwie dobre wspomnienia w umysłach bliźnich, zasiewając je szlachetnemi czynami, oszczędzając tym bliźnim postępków, wskutek których zmuszeni są mówić, wbrew woli, z nienawiścią w sercu: „Nie, nie zapomnę tego nigdy!“

Duch prostoty czarodziejską ma siłę. Równa chropowatości, rzuca mosty nad przepaście i otchłanie, zbliża dłonie i serca. Niezliczone formy przybiera w świecie. Nigdy jednak nie jest czarowniejszym niż wówczas, kiedy się przebija przez nieodzowne zapory położeń, stanowisk, interesów, przesądów, kiedy zwycięża przeszkody, stwarza porozumienie, szacunek i miłość pomiędzy ludźmi, których wszystko zdaje się rozdzielać. To prawdziwy cement społeczny, cement, na którym można budować naród.

KONIEC.

Książkę najmaj —

Cudowna książka

Jestem zdania prezydenta Roosevelt w Polsce

Jacek oraz Jochan